ZELÓW



HISTORIA

Artykuły prasowe i inne

Część I

1 - 10

Nieznana historia z dziejów Zelowa. Paweł Wondraczek na grad kul nie zważał

Ewa Drzazga
14 listopada 2018 roku

3 Baterja 1° Pułku Artylerji ...

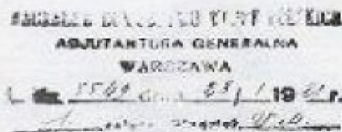
Wniosek

na odznaczenie orderem „Virtuti Militari"
w myśl Uchwały
Kapituły Tymczasowej z dn. 28.I.20r.

1.	Stopień	Bombardjer - celowniczy
2.	Imię i nazwisko	Paweł Wondraczyk
3.	Potwierdzenie nazwiska podpisem dowódcy	Majewski por.
4.	Data wstąpienia do W.P.	2 czerwca 1919 r.

Pozycja polowa dnia 3 listopada 1920 r.

(Podpis dowódcy stawiającego wniosek)
Majewski por.



Szczegółowy opis czynów
(Świadectwo świadków w streszczeniu)

6

Dnia 17 lipca 1920 roku w pierwszy dzień ofensywy nieprzyjacielskiej baterja pod silnym ogniem artyleryjskim, odpierała ataki nieprzyjaciela. Bomb. Wondraczyk Paweł ani na chwilę nie zachwiał się chociaż dwa pociski upadły przed jego działem w odległości sześciu kroków a spokojnie pełnił swe obowiązki celowniczego dając dobry przykład obsłudze. Gdy baterja była zmuszona do odejścia się z pozycji zeszedł ostatni unosząc z sobą części zapasowe. Tegoż dnia baterja brała udział w kontrnatarciu prowadzonym przez 29 p. Strz. K. [illegible]
Znajdując się na pozycji otwartej dostała się pod silny ogień karabinowy. Bomb. Wondraczek, celowniczy, przez cały czas spokojnie pełnił swe obowiązki nie zważając na gwizd kul. Gdy własna piechota cofała się, w dalszym ciągu spokojnie wypełniał rozkazy, starannie wycelowanym działem swem dawał dobry przykład baterji, dzięki czemu baterja mogła ogniem skutecznym, spokojnym osłonić cofającą się pod naporem wroga piechotę. Baterja odeszła z pozycji wraz z piechotą.
W akcji tej bomb. Wondraczek wykazał wiele odwagi i zimnej krwi. Z pozycji zszedł ostatni wyprowadzając rannego piechura pozostawionego przez cofających się żołnierzy piechoty, potem dołączył się do baterji.

[signature] por.

6. Czy ranny lub zabity przy akcji od rubr. 5	Nie.
7. Obecny przydział wymienionego	3 baterja 10 p.K.a.p.
8. Wniosek na stopień orderu	Na V. stop. ord. „Virt. Militari"
9. Podpis świadków.	[signature] por. [signature] por.

VM-64 5547

KWESTJONARJUSZ



1. Nazwisko i imię Kondraczek Paweł

2. Jaki numer orderu wybity na lewej stronie krzyża
Nr 2806

Legitymację Kolejową wysłano dnia CZER 1933

3. Dokładny adres obecny: wieś

poczta Zelów gmina Zelów

powiat Łask miasto

4. Data i miejsce urodzenia:

dzień, miesiąc, rok 13-go. Sierpnia 1897

wieś, gmina, powiat gm. Zelów pow. Łask

5. Imię ojca Karol imię matki Marja z domu Stanisławów

6. Stopień wojskowy, w którym został odznaczony Bombandir

7. Obecnie posiadany stopień:

w rezerwie Bombardier

w stanie spoczynku Bombardir

ewent. inwalidztwo ——

8. Pułk, w którym służył w czasie wojny, względnie oddział, w którym został odznaczony za udział w walkach: 1.0. pułk Kaniowskij art. pol. pierwszy dyw. 3-cia bat.

9. Zawód: obecny (środki utrzymania) tkacz ręczny (chałupnik)

przed wstąpieniem do wojska tkacz ręczny (chałupnik)

Nazywał się Wondraczek. Paweł Wondraczek. 2 czerwca 1920 roku zgłosił się do komisji poborowej. Miesiąc później był już na froncie północnym. Pod gradem kul starannie wcelowywał działo i wycofał się ostatni, ratując jeszcze rannego piechura. Rok później wrócił do domu, do Zelowa. Był tkaczem, jak niemal wszyscy tutaj.
Gdy w 1916 roku Adolf Przepiórkowski tworzył w Zelowie struktury Polskiej Organizacji Wojskowej, Paweł Wondraczek miał dopiero 17 lat. Może nie był za młody, żeby tam działać, ale w tych pierwszych strukturach organizacji Czechów nie było. Włodzimierz Pokorowski, Stanisław, Zygmunt i Władysław Wysoccy, Marian Łukasiewicz, Bolesław i Zygmunt Grajnertowie, Stefan Kowalczyk, Ludwik Adamowicz, Michał Madler. To oni stanowili grupę inicjacyjną POW w Zelowie, który znajdował się w niemieckiej strefie okupacyjnej. Nie pozostali jedynymi, którzy w strukturach POW działali, w 1918 roku pod rozkazami Przepiórkowskiego było już prawie czterdziestu mężczyzn. Gdy 10 listopada zorientowali się, że żołnierze z niemieckiego plutonu stacjonującego w Zelowie zbierają się do opu-szczenia miasta, po prostu rozbroili 30-osobowy oddział. Zajęli obiekty administracyjne, zawiesili biało - czerwone flagi. Zrobili Polskę. Szybko jednak okazało się, że 11 listopada 1918 roku był dopiero początkiem walki o niepodległość. Jeszcze jesienią niektórzy członkowie lokalnego POW zaciągnęli się do regularnego wojska. Nie tylko oni. Na ratunek Polsce pośpieszyli także ci, którzy do struktur POW nie należeli. Jak Paweł Wondraczek. Kiedy kraj, który dla potomków Czechów - założycieli Zelowa stał się drugą ojczyzną, znalazł się w potrzebie, 21 letni wówczas tkacz nie wahał się. Przed komisją poborową stanął 2 czerwca 1920 roku. Dostał przydział do słynnego 10 Pułku Kaniowskiego Artylerii Polowej. Wondraczek, razem z innymi poborowymi trafił na front północny, gdzie na początku lipca rozpoczęła się ofensywa nieprzyjaciela. Cztery armie rosyjskie wsparte korpusem konnym runęły na północno - wschodni front polski. 4 lipca piąta bateria artylerii, w której służył Paweł Wondraczek, zajmowała pozycje w folwarku Ulino. Razem z dwoma innymi bateriami mieli wspierać kontrnatarcie pułku strzelców kaniowskich na Sielce i Soroczno.

KULE TO FRASZKA.

Bombardier Wondraczek Paweł ani na chwilę nie zachwiał się chociaż dwa pociski spadły przed jego działem w odległości sześciu kroków, spokojnie pełnił swe obowiązki celowniczego dając dobry przykład obsłudze. Gdy baterjia była zmuszona do zdjęcia się z pozycji odszedł ostatni unosząc ze sobą części zapasowe” - relacjonowano już po wszystkim przebieg walk z udziałem 21-latka z Zelowa.
Bateria, w której służył, znalazła się na otwartej pozycji. I Wondraczek, i jego towarzysze nagle trafili pod silny ogień karabinów maszynowych. To właśnie zelowianin był cichym bohaterem tego dnia, a jego odwaga zrobiła wrażenie na dowódcach. „Bombardier Wondraczek, celowniczy, przez cały czas spokojnie pełnił swe obowiązki nie zważając na grad kul. Gdy własna piechota cofała się, w dalszym ciągu spokojnie wypełniał rozkazy, starannie wcelowując działo, czem dawał dobry przykład baterji, dzięki czemu baterja mogła ogniem skutecznym, spokojnym, osłonić cofającą się pod naporem własną piechotę. Baterja odeszła z pozycji wraz z piechotą. W akcji tej bombardier Won-draczek wykazał wiele odwagi i zimnej krwi. Z pozycji zszedł ostatni wyprowadzając rannego piechura pozostawionego przez cofających się żołnierzy piechoty, poczem dołączył się do baterj”. To też opis podpisany przez porucznika Majewskiego, który pod Ulinem był dowódcą Wondraczka. „Bardzo dzielny żołnierz” - pisał porucznik. „Przykładem swym nawet w najcięższym ogniu skutecznie wpływa na postawę obsługi. Zasługuje na odznaczenie Virtuti Militari 5-tego stopnia” - podkreślał. Czyny Wondraczka umieszczono nawet w opublikowanym w 1928 roku „Zarysie historii wojennej 10 pułku Kaniowskiego Artyler-ji Polowej”. Zelowianin virtuti militari dostał. Prawdopodobnie otrzymał też Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-21. Sam Wondraczek nie napawał się swoim bohaterstwem. „Z gorliwością i ochotą spełniałem wszelkie polecane mi obowiązki” - podsumował potem. Po prostu przeżył, wrócił do domu i znów zajął się tkactwem. O jego wojennych czynach nikt nie mówił. Nawet w małym Zelowie jakoś się o tym nie opowiadało. Trudno się dziwić, bo lata 20. i 30. przyniosły zupełnie inne problemy.

CIĘŻKO NAWET BOHATEROM…

W Zelowie w wielu domach bieda aż piszczy. Pracy brakuje, podobnie jak pieniędzy. Ceny rosną. Paweł Wondraczek ma już żonę i syna, ale rodzinie bardzo średnio się powodzi. On bardzo często jest bez pracy. Wreszcie w 1934 roku nie ma już innego wyjścia . Zdesperowany bohater wojenny pisze o pomoc do kapituły, która przyznawała mu order. Pomogło. Skierowano go do pracy w służbie pocztowej. Rodzina przeniosła się do Zduńskiej Woli. Po drugiej wojnie światowej Paweł Wondraczek, bohater wojny polsko - bolszewickiej, wyjechał do Czechosłowacji. Osiadł na Morawach. Zmarł w 1980 roku, a o jego historii przez całe lata nikt nie pamiętał.
Możliwe, że nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie Sławoj Kopka. Podczas pracy nad nową książką „Żołnierze Komendanta. Chłopcy malowani z Zelowa” szukał także historii żołnierzy, którzy wywodzili się z czeskich rodzin.
- Wydawało się niemożliwe, że w osadzie tak zdominowanej przez Czechów tak niekiedy ostentacyjnie podkreślających swą więź z Polską, która stała się ich drugą ojczyzną, nie byłoby gotowych chłopców i mężczyzn gotowych do jej służenia i obrony - mówi Sławoj Kopka. Na szczęście mógł liczyć na pomoc Wiery Pospiszył, przewodniczącej Koła Czechów w Zelowie oraz Karola Pospiszyła, który w tym czasie był przewodniczący zboru kościoła ewangelicko-reformowanego. Dzięki ich podpowiedziom udało się dotrzeć do źródeł i odkryć historię Pawła Wondraczka. Ale w „Żołnierzach Komendanta” można znaleźć jeszcze wiele innych sylwetek zelowian, bohaterów wojny polsko - bolszewickiej. O niektórych Kopka wspominał już wcześniej, w swoim „Wizytowniku zelows-kim”. Ale wiele nazwisk w tym kontekście pada po raz pierwszy.
Nową książkę Sławoja Kopki niebawem można będzie już kupić. Spotkanie z autorem związane z promocją tej pozycji, planowane jest na 23 listopada.

I jeszcze jedno. Kilkanaście lat temu do Zelowa przyjechała znana przed laty piosenkarka, Helena Vondrackowa. Podobno jej przodkowie wywodzili się właśnie z tych okolic. Przeglądała parafialne archiwa, objechała okolicę. Nie wiadomo, co udało jej się ustalić, ale kto wie, czy nie przyjechała tu właśnie z powodu Pawła Wondraczka, nieustraszonego bombardiera z piątej dywizji artylerii.

Autor: Ewa Drzazga

Wczoraj i dziś

Tylko u nas

Ewa Drzazga
e.drzazga@dziennik.lodz.pl

Wysłał z Zelowa do łódzkiego getta tysiące Żydów, bo miał dobre serce. Tak mówił...

● Johannes Berger przez cztery lata był panem życia i śmierci zelowian. Organizował m.in. likwidację getta. W 1951 roku uznano go za zbrodniarza wojennego

To tylko dla ich dobra. „Gutes zu tun” - mówił Johannes Berger, gdy w 1951 roku kolejny raz stanął przed sądem w Lipsku, ponownie odpowiadając za zbrodnie wojenne. Jego sprawa ciągnęła się od 1947 roku, gdy wydano wobec niego pierwszy wyrok - skazujący komisarza cywilnego Zelowa z lat 1940 -1944 na siedem lat ciężkiego więzienia, ale po apelacjach i wnioskach kasacyjnych sprawa została przesłana do ponownego rozpatrzenia.

Gdy Berger stawał przed sędziami, nie był już tym samym, pewnym siebie urzędnikiem, który w 1942 roku obojętnie wypalał papierosa na zelowskim rynku, gdy tuż obok odcinano powieszonych przed chwilą Żydów. Tak wtedy, jak i w 1951 roku, nie czuł się w najmniejszym stopniu winien. Na sędziach zrobił wrażenie człowieka pozbawionego uczuć, kogoś, komu zależało tylko wyciągnięciu maksymalnych korzyści ze swojego stanowiska. Ot, cały Amtkommisarz Berger. Kim właściwie był?



FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI SŁAWOJA KOPKI

▶ Jedyne znane zdjęcie Johanesa Bergera (pierwszy z lewej). Wykonano je w dniu egzekucji 10 zelowskich Żydów w marcu 1942 roku

Dziecko swoich czasów

Dokumenty w niemieckich archiwach sądowych ujawniają historię człowieka, który do perfekcji potrafił wykorzystać sprzyjające okoliczności. Johannes Berger urodził się w 1898 roku w niewielkim miasteczku w Saksonii. Ojciec był kupcem, od polityki trzymał się z daleka i chciał, by syn poszedł w jego ślady. Pierwsza wojna światowa, chyba naruszyła rodzinne interesy, bo Johannes ostatecznie objął posadę urzędniczą. Chłopak zaczynał praktykę, gdy koledzy z jego rocznika ginęli gdzieś nad Sommą. Młody Berger został uznany za niezdolnego do służby wojskowej. W kartotece była mowa o chorym podbrzuszu.

Po wojnie był kierowany na kolejne posady (m.in. w 1918 roku pracował w Tucholi), w 1920 roku dostał pracę w Lipsku, tam założył rodzinę. Odmiana przyszła w 1933 roku. Johannes Berger krótko przed przejęciem władzy przez Adolfa Hitlera, wstąpił do SA. W 1937 roku - do NSDAP. Należał do niej aż do rozwiązania tych struktur. Musiał być ceniony przez partyjnych przełożonych, bo gdy w 1938 roku „światowych” urzędników wysyłano do zaanektowanej Austrii, Berger znalazł się na liście. Półtora roku później, po wygranej wojnie z Polską, Berger sam zgłosił się do służby na podbitych ziemiach. Wiedział, że tutaj będzie miał dużo większą władzę niż gdzie indziej.

Z sądowych dokumentów wynika, że funkcję Amtkomisarza objął w Zelowie w 1940, pełnił ją jeszcze w 1944 roku. Jego uprawnienia były zbliżone do przysługujących burmistrzowi. Berger zamieszkał na plebanii parafii ewangelicko - reformowanej. W 1941 albo 1942 roku ściągnął tu swoją żonę. Co jakiś czas przyjeżdżali tu także jego krewni - na procesie oprócz żony, zeznawał m.in. szwagier Bergera. O ile zeznania szwagra były dla oskarżonego obciążające (mówił m.in. o tym, że Żydzi musieli przychodzić sprzątać mieszkania Bergera, czy schodzić z chodnika, gdy on przechodził), o tyle żona zajadle go broniła: Żydów traktował wyrozumiale, dla Polaków był dobry, a oni sami w sumie klepali biedę w Zelowie - do ciasnego mieszkanka na plebanii meble dostarczyli im Żydzi, do tego kryształy i srebra przywiezione z Lipska. Ot, cały majątek, którego miał się jej mąż dorobić na tej posadzie.

> **Na procesie Bergera przed niemieckim sądem zeznawała m.in. jego żona**

Przecież byłem taki dobry

Mieszkańcy miasta zapamiętali go, bo jego ulubioną rozrywką było strzelanie do przechodniów z okien plebanii. Jednak za tego typu czyny nie pociągnięto go do odpowiedzialności. O zbrodnie wojenne oskarżono go, bo w marcu 1942 roku brał udział w powieszeniu dziesięciu Żydów w Bełchatowie (był tam w mundurze), a dwa tygodnie później zorganizował przewiezienie szubienicy do Zelowa, by tutaj także mogło dojść do egzekucji. Badano także, czy to on było organizatorem przesiedlenia około 4 tysięcy Żydów z Zelowa do Litzmannstadt Ghetto latem 1942 r. Czy to on nakazał wszystkim dorosłym Żydom w wyznaczonym dniu, o godz. 4 nad ranem, zebrać się w pustej hali fabrycznej pod pozorem badań lekarskich. Badań nie było, wszystkich wywieziono - bez możliwości zabrania bagaży i dzieci.

O ile w przypadku egzekucji Berger wypierał się swoich mocy sprawczych (zrzucił odpowiedzialność na gestapo, twierdził, że ogłoszeń o egzekucji nie podpisywał - a to mu zarzucano), o tyle w przypadku likwidacji getta trudno mu było o „zastępczych winowajców”. Przyjął inną strategię - mówił, że nie czuje się winny, bo chodziło mu o dobro Żydów - gdyby zostali w Zelowie, mogliby być narażeni na okrucieństwa. Dzięki jego „akcji przesiedleńczej” zostało im to oszczędzone. Berger podkreślał, że Żydów zawsze traktował dobrze. Sąd jego punktu widzenia nie podzielił. Uznał, że w dobrą wolę Amtkommisarza trudno wierzyć, że był on sprawnym narzędziem nazistowskiej machiny. Ostatecznie skazano go na 12 lat ciężkiego więzienia (i 10 lat pozbawienia praw obywatelskich). Do kary zaliczono mu czas od listopada 1946 roku, gdy został aresztowany pod zarzutem zbrodni wojennych. ● ©℗

Trudno odtworzyć losy

● Do tej pory niewiele udało się zebrać materiałów na temat wyroków w związku ze zbrodniami popełnionymi w czasie drugiej wojny światowej przez Niemców na naszym terenie. To, że Johannes Berger był sądzony, udało się ustalić dzięki materiałom ze sprawy sądowej, które w niemieckich archiwach odnalazł Witold Selerowicz i które zgodził się udostępnić. Według obecnej wiedzy Berger był jednym z dwóch przedstawicieli nazistowskiej władzy na terenie gminy Zelów, którzy odpowiadali po wojnie za swoje czyny w okresie okupacji. Drugim był Rudolf Lange, sołtys Zelowa, który w 1949 roku przed polskim sądem odpowiadał za zbrodnie przeciwko narodowi polskiemu, a którego proces prześledzi Sławoj Kopka. Sąd uwzględnił gorliwość Langego w wypełnianiu obowiązków, to, że brał udział w łapankach i wysiedlaniu oraz w egzekucji Żydów. Skazano go na karę śmierci, potem zamieniono ją na dożywotnie więzienie. W 1956 roku Sąd Najwyższy dokonał rewizji wyroku i uchylił go.

Józef Jersak, szef pierwszej polskiej ekipy zimującej na Spitsbergenie, wychował się w Zelowie. Dziś mało kto o tym pamięta, a z każdym rokiem ubywa i tych, którzy słuchali jego opowieści w Domu Zborowym o tym, jak żyje się na lodowcu

O Józiu, co się mrozu nie bał

Konia z rzędem temu, kto wie, czy przylądek Thomas leży na północ czy też na południe od wyspy Greenwich. A kto potrafi znaleźć wspólny mianownik dla Zelowa i bazy Arctowskiego? Choć na to drugie pytanie odpowiedź jest łatwiejsza, to i tak niewiele osób pamięta, że szefem pierwszej polskiej ekipy zimującej na Spitsbergenie był Józef Jersak, zelowianin rzecz jasna.

Na zdjęciach na naukowca nie wygląda: ubłocony, w czapce duńskiego marynarza ugina się pod wiadrami wypełnionymi podejrzaną mazią. W tle bezkresne równiny. Takie pamiątki przywiezione z dalekiej północy rodzina Józefa Jersaka przechowuje jak skarb. Podobnie jak pamięć o anegdotach z podróży. Tych nie brakło. Jedyny zelowianin, który miał okazję szefować bazie Arctowskiego na tym polu konkurencji bać się się musi.

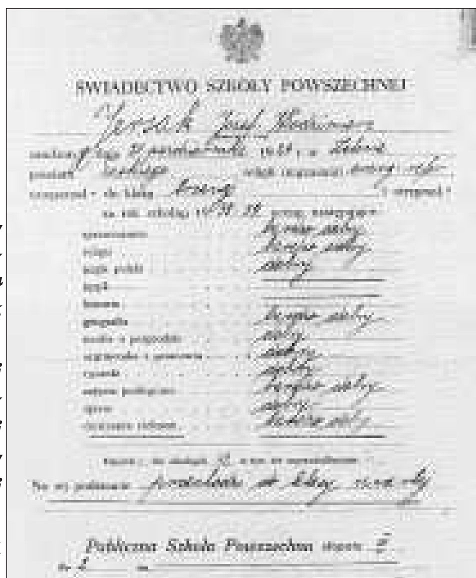
To paprotka na mrozie wyrośnie?

Kogo najmniej trzeba się spodziewać na Spitsbergenie, ile czasu warto zarezerwować na siedmiokilometrowy spacerek, kiedy gorąca herbata ze spirytusem na nic nie pomoże? Odpowiedzi na takie pytania udzielić może tylko człowiek bywały, który nieraz ręce odmroził i niejedną polarną wiosnę i jesień ma za sobą. Kiedy pod koniec lat 70. prof. Józef Jersak przyjeżdżał do Zelowa na wieczory zborowe, posłuchać go przychodziły tłumy. Pokazywał skamieliny, czy ślady roślin odciśnięte na skałach. Gdy opowiadał o paprociach ze Spitsbergenu, wielu ze zdumienia otwierało usta. – Paprotki na Antarktydzie? – ks. Mirosław Jelinek sam takie spotkania pamięta. Mówi, że „niedowierzanie" to słowo, które najlepiej oddaje, co wtedy czuli wszyscy. – Za każdym razem były tu bardzo wiele osób. Potrafił jak nikt opowiadać o dalekiej północy.

I to opowiadać językiem laików, od którego pewnie niejednemu specjaliście zjeżyłyby się włosy. On sam, prof. Józef Jersak, jeden z najlepszych polskich paleontologów, doskonale wiedział, jak w niewielkim Zelowie opowiadać o ogromie lodowców, białych nocach, czy wiośnie na Wyspach Szetlandzkich. Tych historii nikt przebić nie mógł z jednego prostego powodu: oprócz niego nikt z tych okolic nie miał okazji rządzić bazą Arctowskiego.

Jak Józio trafił na Spitsbergen

Zaczęło się niewinnie. W szkole na początku nawet nie miał piątki z przyrody. Owszem, małemu Józiowi szło dobrze: na świadectwie trójek nie miał, ale botaniczne objawienie przyszło gdzieś w szkole średniej. Na studiach już był tego wyboru pewien, potem była geografia fizyczna. Specjalizacje, nazwy, rozprawy jeżą się od „logii" i „grafii". Jednak tak naprawdę, gdy przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka, wszystkich interesował tylko jeden aspekt: jak to jest na Antarktydzie. Józef Jersak miał o czym opowiadać. Na Syberię jeździł jeszcze pod koniec lat 60., w latach 70. bywał na Szetlandach. Wtedy polskim naukowcom nie śniło się jeszcze posiadanie własnej bazy naukowej. Żeby móc przy niej pracować i jednocześnie załapać się na dwuletnią wyprawę badawczą, przeniósł się z Uniwersytetu Łódzkiego do Instytutu Ekologii Polskiej Akademii Nauk. Otrzymał dwuletnie stypendium i wtedy zaczęła się przygoda jego życia: mógł razem z grupą najlepszych polskich fachowców jechać na Spitsbergen, gdzie miała powstać pierwsza w historii polska baza naukowa.


ŚWIADECTWO SZKOŁY POWSZECHNEJ

Publiczna Szkoła Powszechna

Przyszły polarnik uczniem był dobrym, choć nie wybitnym. Przynajmniej było tak w trzeciej klasie szkoły powszechnej
FOT. ARCH. PRYWATNE

Wyprawa rozpoczęła się jeszcze w 1976 roku. Statek, którym płynęli polscy naukowcy, nazywał się „Zabrze". 27 stycznia kotwicę zarzucili w zatoce Livingstone przy przylądku Thomas. Na jednym z cypli może dwa miesiące wcześniej Amerykanie postawili mały baraczek. Polscy naukowcy ocenili, że w tym miejscu dużej bazy wybudować się nie da. To dlatego popłynęli na wyspę Greenwich. Tam teren był w porządku, ale problemem byli lokatorzy, którzy już na cyplu się ulokowali: kolonia pingwinów opanowała to miejsce wcześniej i miała do niego prawa przez zasiedzenie. Obok opuszczonego już baraku chilijskiego Polacy wbili tablicę z godłem i napisem w języku polskim: że tu właśnie tego dnia wylądowali. Tyle, że z osiedlenia się znowu wyszły nici. A ponieważ sąsiednią wyspę „zajęli" już Argentyńczycy. Koniec końców trzeba było zdecydować się na Wyspę Króla Jerzego. To tam miała powstać stacja, dla której nazwa już była upatrzona: im. Henryka Arctowskiego.

W gościnę, przez lodowiec

Jeśli ktoś wyobraża sobie, że polarnicy wysiedli z „Zabrza" na brzeg, weszli do komfortowego budynku, otworzyli laptopy i spytali, gdzie tu można się napić gorącej kawy, rozczaruje się. Chcieli mieć gdzie prowadzić badania, to bazę musieli wybudować. Nie bez kozery pojechało ich ponad 70. Józef Jersak był szefem do spraw naukowych, ale z założonymi rękoma siedzieć mu nie dali. Budowa trwała raptem dwa miesiące, jeszcze dobrze nie zaczęli, a już odwiedzały ich statki z Chile, Argentyny i USA.

Na pierwsze zimowanie na Spitsbergenie zostawało w polskiej bazie 19 osób. Mówili zimowanie, a tak naprawdę reszta ekipy wyjechała stamtąd już w maju. Gdy zimową grupę zostawiali towarzysze z lata, dorośli mężczyźni mieli łzy w oczach. Tak przynajmniej wspomina to po latach Stanisław Rakusa-Suszczewski, szefujący grupie polarników, która na wyspę Króla Jerzego dotarła w styczniu. Skąd te łzy? Co innego być tu dużą grupą z gościną w innej bazie, ewentualnie planami na kilka tygodni, a co innego wiedzieć, że kiedy okolicę skuje lód, ty nie masz już wyjścia: zostajesz z kolegami, którzy potrafią tyle co ty i liczyć możecie tylko na siebie.

Za całą grupę odpowiadać miał właśnie Józef Jersak. To, że była to dla nich pierwsza samodzielna zima w Arktyce, nie oznacza, że zamykali się w bazie, pochylali nad wykresami i czekali aż mróz zelżeje. Wśród opowieści zelowskiego profesora były i te o odwiedzinach w sąsiednich bazach. Odwiedzinach, na które ochota przychodziła największa właśnie w czasie, gdy przedzierać się trzeba było przez lodowiec, a pod nogami było „mleko". Przy takiej okazji jeden z Argentyńczyków powiedział, że „niedźwiedzia polarnego by się prędzej spodziewał, niż ich w taką pogodę". Podobno po takim ośmiogodzinnym spacerze (a tyle czasu zajmowało pokonanie siedmiu kilometrów oddzielających obie stacje) jedynym ratunkiem dla przemarzniętych polarników była herbata ze spirytusem, stosowana jako panaceum przez uczestników wypraw wszystkich narodowości. Tyle, że czasami nawet ona nie pomagała.


Józef Jersak na Spitsbergenie FOT. ZA: „ZELÓW, WSPÓLNOTA NACJI, WYZNAŃ, KULTUR"

STACJE POLARNE

Na Antarktydzie to placówki badawcze założone przez różne państwa. Obecnie istnieje 37 całorocznych i 17 stacji czynnych tylko latem. Polska stacja im. Henryka Arctowskiego składa się z 14 budynków położonych między Zatokami Arctowskiego i Półksiężycową, a Klifem Wydrzyków. Jest kierowana przez Zakład Biologii Antarktyki PAN i prowadzi badania w takich dziedzinach jak: oceanografia, geologia, geomorfologia, glacjologia, meteorologia, klimatologia, sejsmologia, magnetyzm oraz ekologia. Średnia roczna temp. w pobliżu stacji to -2°C, najniższa zanotowana to – 32,3°C, najwyższa +16,7°C.

Plany, plany, plany...

Już po powrocie do kraju Józef Jersak przeniósł się na Uniwersytet Śląski, gdzie był m.in. dyrektorem Instytutu Geografii. Mieszkał w Sosnowcu. Mieszkał, bo człowieka, któremu nie dał rady arktyczny mróz, w 1991 roku pokonał nowotwór. Jego grób odnaleźć można bez trudu na cmentarzu ewangelickim w Zelowie. Siedem lat po jego śmierci powstał projekt nazwania jednej z ulic w Zelowie nazwiskiem słynnego polarnika. Na tym się skończyło.

EWA DRZAZGA
e.drzazga@dziennik.lodz.pl

Z archiwum

Ukraiński prezydent w Zelowie

Do kogo należał prawosławny krzyż, który po wojnie pojawił się na cmentarzu ewangelickim w Zelowie, miejscowości zamieszkanej do 1945 roku w większości przez Czechów? Czy rzeczywiście stanął w miejscu, gdzie pochowano Mykołę Liwickiego, ojca pierwszego emigracyjnego prezydenta Ukraińskiej Republiki Ludowej? Zagadkę, na prośbę ukraińskiej ambasady, próbuje rozwikłać dr Aleksander Kolańczuk, autorytet w dziedzinie biografii petlurowców, czyli działaczy Ukraińskiej Republiki Ludowej z okresu międzywojnia – pisze **Ewa Drzazga**

Początek listopada 1944 roku. Wichura hula za oknami plebanii przy parafii ewangelicko-reformowanej w Zelowie. Pastora Jarosława Niewieczerzała podrywa z fotela pukanie do drzwi wejściowych. Gestapo? Wyjrzał przez okienko przy drzwiach wejściowych i zmartwiał. Przed budynkiem zaparkowany samochód, przy wejściu wyraźnie widać sylwetki trzech mężczyzn. Otworzył drzwi.

Tak mógł rozpocząć się jeden z najbardziej tajemniczych epizodów w dziejach parafii ewangelicko-reformowanej w Zelowie. Mógł, bo pastor Niewieczerzał w swoich zapiskach ograniczył się tylko do zrelacjonowania tego, co nastąpiło po otwarciu drzwi. A i tu jego relacja jest lakoniczna.

Mężczyźni, którzy go odwiedzili, z gestapo nie mieli nic wspólnego. Jeden z nich przedstawił się jako... prezydent niepodległej Ukrainy. Poprosił, żeby do zelowskiego domu starców, który parafia prowadziła, przyjąć jego ojca – i wskazał na najstarszego z trzech mężczyzn.

Sprawa musiała być utrzymana w tajemnicy, bo przyjmując schorowanego staruszka bez niemieckich pozwoleń pastor i członkowie kolegium kościelnego siebie narażali na obóz, a parafię na kolejne restrykcje. Mimo to, jak wynika z zapisków proboszcza, pozwolili Ukraińcowi zostać. Pastor nie kryje, że swoje zrobiło stacjonowanie w Zelowie oddziałów ukraińskiej dywizji SS-Galizien. Ukraiński prezydent nie miał nic wspólnego z SS-Galizien, na której ciążą zarzuty zbrodni wojennych, także na Polakach. Niemniej pastor wolał nie ryzykować puszczenia miasteczka z dymem przez SS-Galizien. Ostatecznie staruszek został w Zelowie. Zmarł kilka tygodni po wyzwoleniu. Jego grób na cmentarzu ewangelickim łatwo było rozpoznać, bo był oznaczony prawosławnym krzyżem o dwóch ramionach. Nazwisko zmarłego pozostało tajemnicą, bo pastor Niewieczerzał nigdy nawet nie zająknął się na ten temat. Czy sam nie wiedział, czy też po prostu wolał nie wiedzieć?

Wiem, gdzie był ten grób

O prawosławnym krzyżu na ewangelickim cmentarzu wspominają jeszcze starsi mieszkańcy parafii. – Teraz już nie ma po nim śladu, ale wiem dokładnie, w którym miejscu był ten grób – mówi ks. Mirosław Jelinek, obecny proboszcz zelowskiej parafii ewangelicko-reformowanej.

To właśnie pastora Jelinka, gdy przeglądał wojenne wspomnienia pastora Niewieczerzała, zaintrygował ów ukraiński wątek. Przewertował archiwa parafialne i dokumenty urzędu stanu cywilnego. I nic, żadnego nazwiska, które mogłoby choć sugerować ukraińskie pochodzenie. O tym, że coś jest na rzeczy, przekonał się mniej więcej rok temu. Przy okazji uroczystości wręczania nagród im. brata Alberta Chmielowskiego udało mu się zamienić kilka słów z przedstawicielem ukraińskiej ambasady. Rozmowa była zupełnie luźna, temat wspomnień pastora Niewieczerzała wypłynął raczej przypadkowo. – O mało nie spadłem z fotela, gdy kilka dni potem, zupełnie niespodziewanie, zadzwonili do mnie z ambasady, wypytując o szczegóły – opowiada ks. Jelinek. – Potem temat znów ucichł. Ale to wystarczyło, żeby mnie to zaintrygowało.

Ukraiński prezydent w małym miasteczku, zamieszkanym przez Czechów, i to jeszcze pod nosem SS? Doktor Grzegorz Motyka z pracowni dziejów ziem wschodnich II RP przy Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk mówi, że historia wcale nie jest tak nieprawdopodobna, jak się może wydawać.

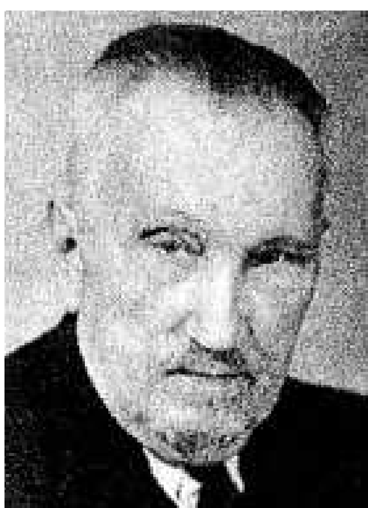
– W okresie międzywojennym w Warszawie mieszkali przedstawiciele Ukraińskiej Republiki Ludowej – mówi. – Po śmierci Semena Petlury prezydentem URL na emigracji został Andrzej Liwicki. Aż do 1939 roku mieszkał w Warszawie, miał ochronę ze strony rządu. Znaczna część emigracyjnych działaczy ukraińskich współpracowała z polskim wywiadem, wielu zostało przyjętych do Wojska Polskiego jako oficerowie kontraktowi.

Wyjaśnieniem zagadki, na naszą prośbę, zajął się Mikołaj Jarmoluk, pierwszy sekretarz Ambasady Republiki Ukrainy. Do współpracy zaprosił doktora Aleksandra Kolańczuka, wiceprezesa Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu, specjalistę w dziedzinie biografii petlurowców.

– Nie wątpię, że w Zelowie jest pochowany Mykoła Liwicki, ojciec Andrzeja Liwickiego – mówi dr Kolańczuk. – Oczywiście zawsze można zakładać mistyfikację, ale tutaj wszystko się zgadza, każdy fragment układanki do siebie pasuje. Nikt nie wymyśliłby takiej historii.

Ukraińskie tropy

Andrzej Liwicki, jak wynika z relacji Aleksandra Kolańczuka, po raz pierwszy do Polski zawitał w 1919 roku. Wtedy był jeszcze „tylko" ministrem spraw zagranicznych Ukraińskiej Republiki Ludowej i szefem delegacji, którą Petlura przysłał do Warszawy. To właśnie Liwicki miał poprowadzić negocjacje, które doprowadziły do tajnego sojuszu Polski i Ukrainy w kwietniu 1920 roku. Na mocy tego porozumienia Ukraińcy i Polacy walczyli wspólnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.


FOT. ARCHIWUM

Andrzej Liwicki

Po zawieszeniu broni w październiku 1920 roku sytuacja ukraińskich żołnierzy skomplikowała się. Oddziały URL przeszły na terytorium Polski, a wojskowi zostali internowani w kilku obozach, m.in. w Piotrkowie Trybunalskim, Kaliszu i Częstochowie. Łącznie było ich ok. 20 tys. Po rozwiązaniu obozów wojskowi rozjechali się po miasteczkach, gdzie udawało im się dostać posady według zawodu. Kiedy w 1921 roku większość państw przestała uznawać istnienie Ukraińskiej Republiki Ludowej, Petlura, jak większość działaczy rady URL, zamieszkał w Warszawie. Wśród nich był i Andrzej Liwicki, który sprowadził tu całą rodzinę. – Po śmierci Petlury w 1926 roku – ciągnie dr Kolańczuk – to właśnie Liwicki został jego politycznym następcą.

Już w 1927 roku Andrzej Liwicki podjął z Józefem Piłsudskim tajne rozmowy na temat współpracy ukraińskich wojskowych ze sztabem głównym Wojska Polskiego.

Jak mówi dr Kolańczuk, który sam mieszkał i pracował kilka lat w Sieradzu, leśniczówka w Sędziejowicach koło Łasku była miejscem, w którym kwitła polsko-ukraińska konspiracja. Gospodarzem leśniczówki w Sędziejowicach był Sergiusz Kunica, wcześniej sotnik (odpowiednik pułkownika w wojsku polskim) armii URL. W okolicach Łasku zamieszkał po rozwiązaniu przejściowych obozów dla wojskowych. Nie był zresztą jedynym oficerem. Ukraińcy byli również w Pabianicach, Łodzi, Piotrkowie, Sieradzu, Zduńskiej Woli. Skąd takie zagęszczenie?



FOT. ARCHIWUM

Przedwojenne zdjęcie zelowskiego przytułku. Prawdopodobnie tu ostatnie miesiące życia spędził Mykoła Liwicki

W latach 20. ub. wieku około tysiąca oficerów wyjechało do Czechosłowacji. Tam rząd zafundował im stypendia, w Pradze i okolicy powstały cztery ukraińskie uczelnie. – Na ten wątek, to potencjalne zaufanie do czeskiej społeczności w Zelowie i okolicach, warto właśnie zwrócić uwagę – podkreśla dr Kolańczuk.

Sędziejowicka leśniczówka prawdziwe oblężenie przeżywała jesienią 1944 roku. Po powstaniu warszawskim, gdy ze stolicy musieli uciekać działacze rady URL z Liwickim na czele, to właśnie Sędziejowice stały się na kilka tygodni de facto siedzibą emigracyjnych władz URL. Oprócz prezydenta, przez jakiś czas pomieszkiwał tu Leon Bykowski. Był też oczywiście gospodarz leśniczówki Sergiusz Kunica.

Decyzja o tym, że trzeba wyjechać do Berlina, zapadła w listopadzie. W zasadzie podjęli ją za Liwickiego Niemcy, którzy woleli mieć prezydenta pod kontrolą.

– Bardzo prawdopodobne, że właśnie wtedy, gdy przesądzony był już wyjazd do Berlina, pojawiła się kwestia umieszczenia Mykoły Liwickiego w Zelowie – mówi Aleksander Kolańczuk. – Przestudiowałem sporo dokumentów w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie.

Nigdzie Andrzej Liwicki nie wspomina o tym, że w Polsce przebywa jego ojciec. Poprosiłem za pośrednictwem naszej ambasady o sprawdzenie metryki Mykoły Liwickiego w kijowskim archiwum. Ciągle jeszcze czekam na odpowiedź.

Odkryć Zelów dla Ukrainy

Prezydent URL nigdy już w Zelowie się nie pokazał. Został na emigracji w zachodnich Niemczech. Zmarł w 1954 roku w Karlsruhe, a pochowano go w Monachium.

Syn, Mykoła Liwicki, który dostał imię po dziadku, postarał się o przeniesienie prochów ojca do Nowego Jorku. Sam też był prezydentem URL w latach 1967-1989, zajmował się również dziennikarstwem. Grób Mykoły Liwickiego – wnuka – znajduje się w New Jersey w USA. Gdzie jest naprawdę grób dziadka?

– Wierzę, że w Zelowie – mówi dr Kolańczuk. – Wiosną wydaję biogramy działaczy ukraińskich, również Liwickiego. Chcę jako pierwszy napisać o zelowskim wątku w dziejach tej rodziny.

Mykoła Jarmoluk również deklaruje, że ambasada nie zapomni o Zelowie. Kiedy wyjaśnią się już wszystkie wątpliwości, chce tu umieścić pamiątkową tablicę.

– Mama bardzo często opowiadała o dawnym Zelowie – mówi Lidia Smetana, mieszkanka miasteczka. – Zawsze tęskniła do tamtej atmosfery, do przemieszania języków. Nawet dzieci niemieckie czy polskie mówiły po czesku

Sypią się domy i historia

Wyznaniowy i narodowościowy miks, charakterystyczne czeskie domy, mit osadnictwa. Zelów nadal żyje swoją historią, choć niektórzy napomykają, że coraz częściej zaczyna umykać to, co dla dawnego miasteczka było najważniejsze. Co roku urządzane są tu przecież Dni Osadnictwa, w których jednak formalnie potomkowie osadników nie uczestniczą.



Dom Wacławy Wiśniewskiej przyciąga oko nietypową konstrukcją. Jak mówi właścicielka, często zaglądają do niej amatorzy dawnej architektury, prosząc o możliwość zrobienia zdjęć

Potomkowie czeskich osadników pytani o to, co jest najbardziej charakterystyczne dla czeskiej społeczności w Zelowie, zastanawiają się dosyć długo. Wymieniają domy, choć nie potrafią od razu powiedzieć, co w nich jest takiego nietypowego (chyba to, że stoją w Zelowie – żartuje pani **Lidia Smetana**). Wymieniają również niektóre nazwiska czy imiona. W końcu jako to, co dla czeskich osadników było charakterystyczne, wymieniają śpiew. Podobno to właśnie po słuchu muzycznym i talencie wokalnym można było zelowskich Czechów rozpoznać najpewniej.

– Mama opowiadała, że tu ludzie się z tym talentem rodzili – mówi pani Lidia. – Nawet niewykształceni, a potrafili chórem dyrygować i nuty zapisywać. Coś w tym musi być.

Ostatnie takie „wyżki"

Do **Wacławy Wiśniewskiej** często przychodzą osoby, które chcą sfotografować jej dom i dokładniej mu się przyjrzeć. Pani Wacławy ani to już nie dziwi, ani nie denerwuje.

– Chcą zdjęcia robić, to niech robią, co mi szkodzi – śmieje się. – Ale ja tam nic szczególnego w nim nie widzę. Chyba to, że z roku na rok coraz zimniejszy jest. Drewno chyba murszeje, nawet latem trzeba w piecu podpalać.

Dom pani Wacławy od ponad stu lat stoi przy ul. Kościuszki. Przez ten czas ponoć zmienił się niewiele. Zachował nie tylko charakterystyczny kształt, ale również „wyżkę". Znawcy wskazali tu także tzw. zrębową i sumikową konstrukcję ścian.

– Nie ma chyba takiego drugiego w Zelowie – mówi właścicielka. – Dawniej to jeszcze takich stało kilka, ale wszystko w oczach się rozlatuje.

Charakterystyczne drewniane domy, stawiane frontem do ulicy, nadal można jeszcze spotkać przy ul. Kościuszki, Piotrkowskiej czy na tzw. Zelówku. Wyróżniały się układem izb, budową stropów, położeniem pieców, kominów czy „wyżkami", czyli poddaszami, które pierwotnie używano jako spiżarnie i magazyny, a potem jako mieszkania. Tym, co czeskie tradycyjne domy wyróżnia, są jeszcze elewacje czy ozdobne drzwi, oprawy okien.

Lidia Smetana mówi, że jeszcze 5 lat temu zabytkowych, charakterystycznych czeskich chat było w Zelowie sporo. Ale od tego czasu wiele z nich właściciele po prostu rozebrali, bo ich renowacja kosztowałoby zbyt dużo.

– To są wszystko budynki, które mają po sto lat i więcej – mówi zelowianka. – Do tej pory nikt specjalnie się ich konserwacją nie zajmował, a teraz takie koszty przekroczyłyby wartość budynków. Nic dziwnego, że jeśli się komuś coś na głowę sypie, to nie zastanawia się długo.

Wacława Wiśniewska przyznaje, że jeszcze jej męża kusiło, by część domu rozebrać.

– Cała jedna strona się sypie – mówi. – Ale jakoś tak zeszło, bo zawsze było szkoda. Na remont nie ma pieniędzy, a czas robi swoje.

Gdzie ten Zelów

Dla Zelowa właśnie czas jest największym sprzymierzeńcem i jednocześnie wrogiem. Ze względu na swoją historię miasteczko stanowi łakomy kąsek dla historyków. A moda na wielokulturowość i wielonarodowościowy charakter pozwala na wyzyskanie osadniczego charakteru Zelowa również na płaszczyźnie promocyjnej czy finansowej. To tu działają międzynarodowe fundacje, fundowane są stypendia przez zelowian, którzy z kraju wyjechali, organizowane są przedsięwzięcia ekumeniczne.

Jednocześnie z czasem coraz trudniej o osoby, które pamiętałyby przedwojenny, wielonarodowościowy Zelów.

– Mama bardzo często opowiadała o tamtym miasteczku – mówi Lidia Smetana. – Zawsze tęskniła do tamtej atmosfery, do tego przemieszania języków. To właśnie czeski można było usłyszeć na ulicach najczęściej. I napisy na witrynach sklepowych też czeskie były, nawet w tych prowadzonych przez Żydów. To się dzisiaj niewiarygodne wydaje.

Do Zelowa bardzo często przyjeżdżają rodziny, których korzenie właśnie stąd się wywodzą. Większość z nich to ci, którzy w 1945 roku reemigrowali do Czechosłowacji.

– Wtedy bardzo modne było hasło: Czesi do Czech – mówi pastor **Mirosław Jelinek** z parafii ewangelicko-reformowanej. – I przed większością osób czeskiego pochodzenia nie pozostawiono wyboru.

Teraz często odwiedzają tych, którzy jednak pozostali. I mama, i ojciec pani Lidii mieli po sześcioro rodzeństwa. Tylko oni zdecydowali się w 1945 roku pozostać w Zelowie.

– Kiedy podpytywałam mamę dlaczego została, mówiła, że trudno tak było wszystko zostawić i zaczynać życie od nowa – opowiada. – Wyjeżdżali przede wszystkim ci, którzy nie bardzo mieli się z czego utrzymywać. Wielu później wracało, bo w Czechosłowacji nie potrafili się odnaleźć. Tam byli Polakami, a tu Czechami. Ale Zelów to zawsze Zelów.

Jego lipa

Rodziny, które Zelów odwiedzają, dzielą się na dwa typy. Ci, którzy przyjeżdżają po wielu latach, ciągle mają przed oczyma dawne miasteczko. I nadzieję, że do tej pory nic się tu nie zmieniło. Ci, którzy przyjeżdżają regularnie, wiedzą, że wszystko wygląda inaczej.

Lidia Smetana z czułością wspomina wizyty swojego wuja.

– Ma już 87 lat i odwiedza nas regularnie – opowiada. – Zawsze gdy przyjeżdża, najpierw idzie na rynek. Tam, kiedy chodził do szkoły, z okazji jakiegoś święta sadzili lipy. Teraz sprawdza, czy ta jego ciągle stoi. Głaszcze ją i mówi, że to „jego" lipa. A potem idzie do sklepu, który w Zelowie w tym samym miejscu był jeszcze przed wojną. Spotyka się tam ze swoim szkolnym kolegą. Ta wizyta jest dla niego chyba ważniejsza niż posiedzenie z nami.

Takich nostalgicznych powrotów jest sporo. Zelowianie co jakiś czas do pastora Jelinka przyjeżdżają z najdalszych krańców globu.

– Niedawno odwiedził mnie gość z Brazylii – mówi Mirosław Jelinek. – Był tylko dwa dni, więc nie zdążył odwiedzić okolicznych miejscowości. Jednak zapowiedział, że za dwa lata znowu przyjedzie.

Bywają też goście z Pakistanu, RPA, Kanady czy Stanów Zjednoczonych. Krajów, do których zelowianie wyjechali, jest bez liku. Do Jelinków przysyłają relacje ze zjazdów rodzinnych, pamiętniki. Wszystko zaopatrzone w archiwalne zdjęcia.

– Zelów wspominają zawsze – dodaje pastor. – Z tym miejscem wiążą się często ich najlepsze chwile.

Dni bez osadników

– Ja bym się chętnie nauczyła czeskiego – mówi **Ania Wodzińska**. Jej dziadkowie – Polacy – przyprowadzili się do Zelowa w latach 50. – Fajnie taki język znać. I chyba trochę wstyd tu mieszkać i słowa po czesku nie umieć powiedzieć.

Ania opowiada, że kiedy np. na koloniach mówi, że pochodzi z Zelowa, koledzy dziwią się, że nie zna czeskiego.

– Choćby nie wiem jak się wykręcał, to i tak zawsze się okaże, że jeśli z czegoś nasze miasteczko jest znane, to właśnie z braci czeskich. Przecież z faktami się spierać nie można. Można to za to jakoś wykorzystać – mówi.

Ania nie miała pojęcia, że festyn Dni Osadnictwa, który co roku w Zelowie organizuje Urząd Miasta, odbywa się de facto bez osadników. Wśród tych, którzy do imprezy przykładają rękę, brakuje np. parafii ewangelicko-reformowanej czy ewangelicko-augsburskiej.

– Takie pominięcie jest trochę nie fair, bo oznacza organizowanie jakiegoś święta bez tych, którzy tak naprawdę są przyczyną jego ustanowienia – mówi Jelinek. – Chętnie byśmy się w to włączyli, ale nikt nigdy nas o to nie prosił. Powoływanie się na przeszłość i jednocześnie staranne jej ignorowanie na pewno w parze ze sobą nie idą

Tymczasem **Sławomir Malinowski**, burmistrz Zelowa, tłumaczy, że Dni Osadnictwa to przede wszystkim impreza rozrywkowa dla wszystkich mieszkańców.

– Główny cel to zabawa i promocja miasta – mówi. – Chodzi o pokazanie współczesnych osiągnięć Zelowa, a nie rozdrapywanie historii. Przecież każdy może tu przyjść.

Sami potomkowie czeskich osadników wzruszają ramionami.

– Cóż, to przykre – mówi jeden z nich. – Ale przecież nikt z tego powodu nie będzie rozdzierał szat. Tylko skoro to impreza nastawiona na nowoczesność, to po co nazywać ją Dniami Osadnictwa?

TEKST I FOT. EWA DRZAZGA


Na dwa dni władzę w Zelowie symbolicznie oddano w ręce osadników: Czecha, Niemca, Polaka i Żyda. Dniom Osadnictwa patronował „Dziennik Łódzki"

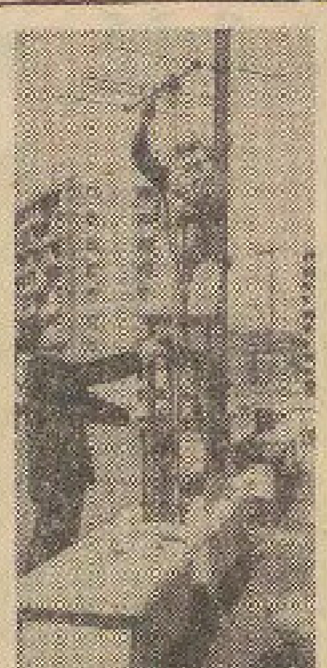
OSADNICY PRZYBYWALI

Pierwsi czescy koloniści przybyli do Zelowa w lutym 1803 roku. Dwa miesiące wcześniej odkupili tu majątek ziemski od Józefa Śmidzińskiego. Kosztował ich 154 tys. zł. Zgodnie z zawartą umową, chłopi, którzy do tej pory zamieszkiwali te tereny, mieli zostać osadzeni w innych dobrach Śmidzińskiego. Już w latach 20. kolejni osadnicy wykupili i założyli kolonię w Kucowie k. Kleszczowa, a następnie w Faustynowie i Pożdżenicach.
Koniec XIX i początek XX wieku to osiedlanie się w Zelowie Polaków, Żydów oraz napływ ludności niemieckiej. Takie narodowościowe i wyznaniowe zróżnicowanie przetrwało do 1939 roku. W czasie II wojny światowej doszło do całkowitej eksterminacji ludności żydowskiej, z końcem wojny wyjechała z Zelowa ludność niemieckiego pochodzenia. W 1945 roku również na potomków czeskich osadników naciskano, by czym prędzej wyjechali do Czechosłowacji. Zdecydowało się na to ponad 3 tys. zelowian. ●

NIE PAMIĘTAM, KTO POWIEDZIAŁ TE SŁOWA: „NASZA DZIELNICA NOSI IMIĘ NAJPIĘKNIEJSZEGO ŚWIĘTA ROBOTNIKÓW. ZASŁUŻY SOBIE NA TO MIANO. BĘDZIE TAKŻE NAJPIĘKNIEJSZA. POSTARAMY SIĘ O TO". BYŁO TO JESIENIĄ UBIEGŁEGO ROKU, PODCZAS SKROMNEJ UROCZYSTOŚCI PODSUMOWANIA KILKU TYSIĘCY GODZIN PRZEPRACOWANYCH PRZY KOSMETYCE NOWYCH BLOKÓW PRZEZ ICH PRZYSZŁYCH LOKATORÓW.

Imiennicy





Jest ich dzisiaj — mieszkańców nowego Osiedla im. 1 Maja — ponad 8 i pół tysiąca. Mieszkają w 47 niektórych blokach, które tworzą maleńkie miasteczko o wyraźnym wyrazie, kształtowanym nie tylko maleńkimi uliczkami, przebiegającymi wśród kolorowych elewacji budynków, lecz także pomysłowością, zdobieniem najdzielniejszych i najofiarniejszych mieszkańców.

★

Roman Szpecha jest dozorcą bloków 314 i 315. Dozorcą? Tu, na tym osiedlu mówi się inaczej: gospodarz. Zawodowe umiejętności (dawny mechanik maszyn włókienniczych) i użytkowanie ich na rzecz estetyki otoczenia, zyskały panu Romanowi powszechny autorytet, zwłaszcza u młodzieży, która z całym zapałem pragnie zasłużyć na miano współwykonawców trzech fontann między blokami i zaplanowanych brodzików.

— Niech pracują. Nauczą się cenić pracę i szanować wspólne dobro.

★

Małe „kamy" rozsiadły się na ławeczce przy piaskownicy. Młodsze rodzeństwo grzebie się w piasku. Piaskownice znajdują się przed każdym blokiem. Rzut okiem z okna — matki mają tu spokojne głowy. Tym spokojniejsze, że dwa piękne przedszkola wyręczają je w patronacie nad dziećmi, że trzy szkoły (także trzy techniki) w osiedlu gwarantują bezpieczeństwo poruszania się małych obywateli po całym terenie.

★

Z Władysławem Trybułowskim i Z. Sewerynakiem (w charakterze przewodników) wędrujemy po osiedlu. Wł. Trybułowski — jeden z najstarszych mieszkańców osiedla (w 1962 r. przy ul. Gagarina stały tylko dwa bloki) jest posiadaczem czterech złotych odznak uczestnika pracy społecznej i Honorowej Odznaki m. Łodzi. Odznaki posiadają także żona i trzy córki.

Z. Sewerynak, posiadacz Srebrnego Krzyża Zasługi, Medalu Tysiąclecia i Złotej Odznaki Uczestnika Pracy Społ. przejął w 1962 r. administrację osiedla. Zna tu wszystkich i wszystko.



— Tu będzie poczta, ten gmach to pralnia — mamy już wszystkie urządzenia, ten budynek za szkołą to następny pawilon sklepowy, a tu będzie pawilon usługowy. Wszystko na miejscu...

— Na tym placu zrobimy ogródek jordanowski, a na tamtym boisko dla młodzieży. Musimy mieć dwa. Dzieci jest dużo. Dostaliśmy już wyposażenie sportowe od zakładów opiekuńczych (im. Dzierżyńskiego).

— Potrzebny nam jest tramwaj. Mieszkańcy zadeklarowali już 12 tysięcy godzin pracy społecznej przy budowie linii tramwajowej. Osiedle się rozrasta. Wyrasta czwarty dziewięciopiętrowy blok...

★

O tym osiedlu można pisać i pisać... O mieszkańcach także. Przybyli tu i przybywają jeszcze z całej Łodzi. Z suteren i poddaszy, z ciasnoty i wilgoci. J. Wichlińska tkaczka-rencistka, mieszkanka bloku przy ul. Gagarina 19 (patrz zdjęcie na dachu) może być przykładem żywotności i energii starego pokolenia robotników łódzkich, które po latach walk i pracy korzysta dziś z pogodnej jesieni życia, w warunkach przez siebie wypracowanych. Mała Basia Trybułowska, która chwyta drobnymi dłońmi za ciężką łopatę, jej kolega Bronek Latalski i setki rówieśników są symbolem wzrastania młodego pokolenia w atmosferze szczęścia i radości. Rosną wraz z osiedlem, które w majowym słońcu błyszczy zwierciadłami szyb w dużych oknach, zieleni się świeżą trawą i swym prostym pięknem wita Święto 1 Maja — swoje święto.

Z. TAR.

Narodziny 1 Maja

PARYŻ, lipiec 1889 r. Obraduje I Kongres II Międzynarodówki. Zebrani formułują postulaty międzynarodowego proletariatu dotyczące prawodawstwa robotniczego. I wówczas rodzi się piękna myśl:

„Będzie urządzona wielka międzynarodowa manifestacja w dniu oznaczonym, w tym celu, ażeby we wszystkich krajach i miastach jednocześnie robotnicy wezwali władze publiczne do wprowadzenia prawa, ograniczającego liczbę godzin pracy do 8 godzin i do wykonania innych postanowień Kongresu Paryskiego".

„Zważywszy — głosiła dalej uchwała — że podobna manifestacja jest już wyznaczona na 1 maja 1890 roku przez Amerykańską Federację Pracy na jej zjeździe, odbytym we wrześniu roku 1888 w St. Louis, termin ten przyjmuje się również dla manifestacji międzynarodowej. Robotnicy wszystkich krajów mają organizować tę manifestację w warunkach, jakie im narzuca położenie ich krajów".

Cofnijmy się jeszcze o trzy lata. Do przyźródeł 1 maja, do wydarzeń, które historia ruchu robotniczego zapisała pod nazwą „tragedii chicagowskiej" i które wzbudziły na całym świecie — wraz z falą protestów, głębokie oburzenie — powszechny, olbrzymi ruch proletariackiej solidarności.

„...DAJCIE IM CHLEB ZE STRYCHNINĄ"

Stany Zjednoczone, lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. W fantastycznym tempie odbywa się koncentracja kapitału, powstają potężne monopole i trusty: w rękach grupki bogaczy, którzy stanowili zaledwie jeden procent ludności, skupiło się więcej bogactw, aniżeli u pozostałych 99 procent społeczeństwa.

Dla robotników dzień pracy w przemyśle trwał ponad 10 godzin; w wielu gałęziach — po 12—14 godzin. Płace były niesłychanie niskie, przemysłowcy zwłaszcza stosowali jeszcze niżej opłacaną pracę kobiet i dzieci. Przeciwko nieludzkiemu wyzyskowi, niemożliwym warunkom bytu, wystąpili robotnicy Chicago, Nowego Jorku, Filadelfii, innych dużych ośrodków przemysłowych kraju. Głównym postulatem było wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy. Rosła fala strajków, demonstracji; robotnicy bojkotowali towary wyprodukowane w fabrykach, które odmawiały skrócenia czasu pracy.

Dziennik „Chicago Times" podburzał: „Trzeba rzucać bomby w tłum strajkujących". „Chicago Tribune" radziła: „Kiedy robotnicy proszą o chleb, dajcie im chleb ze strychniną, aby na drugi raz się nie naprzykrzali".

1 maja 1886 r. na wezwanie Amerykańskiej Federacji Pracy (AFL), rozpoczął się strajk powszechny, który ogarnął około 350 tysięcy robotników. I wówczas w Chicago, gdzie strajk i demonstracje przybrały szczególnie na sile, doszło do tragedii. 3 maja podczas wiecu na Placu Siennym policja otworzyła ogień: padło 4 zabitych, 50 ciężko rannych.

„Kule dla czerni, stryczek dla prowodyrów!" — pod tym hasłem rozpętano w kraju bezlitosny terror wobec robotników, organizacji związkowych, działaczy. Nastąpiły masowe aresztowania. Ośmiu przywódców chicagowskiego ruchu związkowego postawiono przed sądem. Nie udowodniono im winy — ale siedmiu skazano na śmierć. Haniebny wyrok wywołał falę wiecenów protestacyjnych w USA, w Anglii, Francji, Holandii, Rosji, we Włoszech, w Hiszpanii. Pod presją opinii dwom skazanym zamieniono wyrok śmierci na dożywocie. 11 listopada 1887 r. August Spies, George Engel, Adolph Fischer i Albert Parsons zawisnęli pod szubienicą. Piąty skazany, 22-letni Louis Lingg, w przeddzień egzekucji odebrał sobie życie: zapalił cygaro napełnione dynamitem.

„PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW..."

Zbliża się 1 maja 1890 r. Robotnicy większości krajów Europy i Ameryki przygotowują się do pierwszego obchodu majowego — do manifestacji, wieców, strajków. Rządy burżuazyjne mobilizują wszystkie siły, aby do nich nie dopuścić. We Francji — zakaz ulicznych demonstracji; w Niemczech — ostre pogotowie wojska; we Włoszech — zakaz wszelkich zgromadzeń; w Warszawie — areszty i nowe setki zesłańców.

Ale mimo wszystko 1 maja 1890 r. robotnicy wyszli na ulice. Demonstracje wypadły imponująco. Wzięły w nich udział setki tysięcy robotników Francji, Austrii, Niemiec, Włoch, Anglii, Hiszpanii, Holandii, Szwecji, Danii, Norwegii, USA, a także Polski — na ziemiach wszystkich trzech zaborów. W londyńskim Hyde-Parku manifestowało ponad 300 tysięcy. We Włoszech doszło do starć z policją. W Austrii strajk objął niemal wszystkie fabryki. W Warszawie, mimo terroru władz carskich, na wezwanie II Proletariatu zastrajkowało około 10 tysięcy robotników — jak na owe czasy liczba olbrzymia. „Miliony robotników Starego i Nowego Świata jednogłośnie zażądały ośmiogodzinnego dnia roboczego" — podsumowując wyniki pierwszego obchodu majowego stwierdził organ rządu szwajcarskiego „Bund".

„...dziś, kiedy piszę te słowa, proletariat europejski i amerykański odbywa przegląd swoich sił bojowych, po raz pierwszy zmobilizowanych jako jedna armia pod jednym sztandarem do walki o jeden cel najbliższy" — czytamy w przedmowie do niemieckiego wydania „Manifestu Komunistycznego" z 1890 r. Pisał to Fryderyk Engels — pod bezpośrednim wrażeniem pierwszych obchodów majowych.

K. ZAREWICZ

TKACZE

Jestem zbyt blisko skoligacony z zelowskimi tkaczami, aby pisać o nich obiektywnie. Lojalnie o tym uprzedzam, aczkolwiek wiem, że ludzie w Zelowie bardziej cenią sobie wartość bawełny niż słowo drukowane. Nic w tym dziwnego, w bawełnie pracują tutaj wszyscy, gazety czyta o wiele mniej. Ważne, że z każdej surowej paczki przędzy potrafią wyprodukować materiał. Bawół sposobem przepisanym.

Jeśli zechcielibyśmy dziś szukać elementów tradycji rzemieślniczych w przemyśle włókienniczym, znajdziemy ich w Zelowie chyba najwięcej. Szczególnie tych dobrych, tych złych także. Jak w rezerwacie. Do tych dobrych należy przede wszystkim duża fachowość tkaczy wyniesiona z rękodzielnictwa. Wielu obecnych robotników i majstrów, zatrudnionych w Zelowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego swego zawodu uczyło się jeszcze na drewnianych krosnach, takich samych, jakie teraz zobaczyć można już tylko w Muzeum Włókienniczym. Po wojnie przeszło z ławek chałupniczych warsztatów stanęli przy warsztatach mechanicznych.

Tradycje chałupnictwa w zmienionej znacznie formie utrzymują się w Zelowie zresztą do dnia dzisiejszego. Obecnie znajduje się tutaj jeszcze około 300 chałupników zrzeszonych w spółdzielczości tkackiej. Przechodząc ulicami miasteczka nie słyszy się już jednak charakterystycznego klekotu drewnianych krosien, których się napędowa stanowiły nogi rękodzielników. Chałupnicy teraźniejsi pracują bowiem na krosnach mechanicznych.

Prymitywny przemysł chałupniczy wyrządził w okresie międzywojennym duże szkody klasie robotniczej Zelowa tak pod względem fizycznym jak i umysłowym; uniemożliwił oświatę i zniszczył życie rodzinne przez wciągnięcie do pracy dzieci, rujnował zdrowie ludzi, którzy pracowali w izbie, gdzie jednocześnie gotuje się, je, pierze, śpi, choruje, rodzi i umiera! Po dzień dzisiejszy przetrwało powiedzenie, że „w Zelowie dzieci rodzą się na krośnie". Chałupnicy zwani tutaj wełnarni pracowali od świtu do nocy przy naftowej lampie. Burzyny na karkach się pieniły i strupy rosły na pośladkach. Towarzyszyła im gruźlica i żylaki.

Mimo to byli ludźmi pełnymi fantazji, dumy i buntowniczości jak tkacze śląscy, o których Henryk Heine napisał swój poemat. Można by się nawet doszukiwać pewnych paraleli między nimi. Zelów, jak wiadomo, założyli heretyccy potomkowie wojowniczego Husa spod Taboru i Czermina, którzy po klęsce pod Białą Górą znaleźli schronienie na Śląsku Pruskim pod opieką elektora brandenburskiego. Tam właśnie nauczyli się tkactwa i kiedy w 1802 roku przywędrowali na ziemię zelowską, zajęli się rękodzielnictwem wyrobów płóciennych. Tkali płótna różnych gatunków cienkie białe na bieliznę, płótna ślubne w wymyślne szlaki i desenie oraz grube sukna, z których sami szyli sobie wierzchnią odzież.

Następnie na pastwiskach i nieużytkach pojawiły się stada owiec. Hodowla jednak wkrótce upadła i wełnę zaczęli sprowadzać prosto z Anglii. Później wełnę wyparła bawełna i tkactwo zelowskie, dotychczas autonomiczne, zaczęło się coraz bardziej uzależniać od rosnącego w siłę przemysłu łódzkiego. Pojawiły się pierwsze konflikty między pracą a kapitałem. Właśnie w Zelowie historia polskiego ruchu robotniczego notuje pierwszy strajk w Polsce w 1872 roku. Zebrania robotnicze na terenie Zelowa organizowali przeważnie działacze łódzcy. Odwiedzał także osadę Ludwik Waryński, o którym długo zachowała się tutaj żywa pamięć. Zelowska klasa robotnicza wyróżniała się znaczną rewolucyjnością. Wymownie świadczy o tym choćby taki fakt, że na przestrzeni lat 1919—1935 odbyło się tutaj aż 14 strajków. A przecież trzeba wziąć pod uwagę, że jest to ośrodek bardzo mały w porównaniu na przykład z Łodzią.

Tkacze zelowscy mają duże poczucie własnej wartości, są samodzielni, dobrze znają swój fach, cechuje ich również pewien indywidualizm wyniesiony jeszcze z tradycji chałupnictwa. O obecnej załodze ZZPB jej dyrektor Stefan Chrapkiewicz powiada, że jest niełatwa, lecz ambitna i pracowita. Jeśli tkaczom majster czy mistrz się nie spodoba, bo jest kiepskim fachowcem, znajdą sposób, aby się go szybko pozbyć.

Życie tutejszej ludności sprzęgnięte jest ściśle z fabryką. Od tego, co się dzieje w zakładach, od wykonania planu, od wielkości zarobków uzależniona jest bowiem egzystencja 70 proc. ludności miasteczka. Obecna dyrekcja zakładów posiada tę zaletę, że potrafi umiejętnie kojarzyć interesy robotników z interesami terenowej administracji. Po prostu na przewodniczącego Prezydium MRN załoga wybrała „swojego" człowieka, byłego przewodniczącego rady zakładowej — Mariana Szymonka.

Pisząc o zakładach należy wspomnieć i o pierwszej osobie przedsiębiorstwa, jako że w Zelowie czas odmierza się panowaniem dyrektorów. Ludzie powiadają: „za dyrektora Piekielnego kradli", lub: „za dyrektora Chrapkiewicza zbudowano tkalnię". Dyrektor Chrapkiewicz cieszy się na tutejszym terenie dużym poważaniem. Przyszedł do Zelowa po 1956 roku i trwa do chwili obecnej. Przedtem co rok był kto inny. Oczywiście nie ma tu życia usłanego. Jako się rzekło, załoga to taki stop tradycji sarmackich z rewolucyjnymi.

W pracy na co dzień panują tutaj stosunki raczej familiarne. Znają się przecież wszyscy od dziecka, są ze sobą spowinowaceni i spokrewnieni tysiącznymi więzami. Samych Badziaków pracuje tu kilkunastu.

Fabrykanckie zakłady natychmiast po wyzwoleniu przejęli w swe ręce przedwojenni komuniści, KPP-owcy i PPS-owcy. I sekretarzem komórki PPR został stary działacz — Bolesław Kamiński, zaś pierwszym, jak byśmy go dziś nazwali, przewodniczącym rady zakładowej został wówczas przedwojenny działacz związków klasowych — Józef Swoboda. Obchodzi on w tym roku jubileusz 50-lecia pracy w zakładach. Obok niego 40 lat pracy w bawełnie mają za sobą również: Kazimierz Bronowski i Stanisław Michalski.

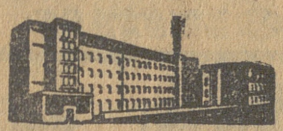
Na początku XX-lecia produkowano w Zelowie 830 tys. metrów tkanin. Dziś produkuje się 23,5 miliona metrów. W tym roku stanąć mają fundamenty pod budowę przędzalni, która zatrudni około 2 tysięcy osób. Fakt ten ma dla miasteczka historyczne znaczenie, gdyż na długi okres czasu rozwiąże problem zatrudnienia tej okolicy. W ten sposób chałupniczy Zelów przekształci się w pełni w Zelów przemysłowy.

KAROL BADZIAK

Warszawa, Niedziela, 5 grudnia 1937 r.

DZIEŃ DOBRY!

DOM PRASY S.A.



CENA w całej Polsce 10 GR.

ROK VII M GAZETA CODZIENNA NR 337

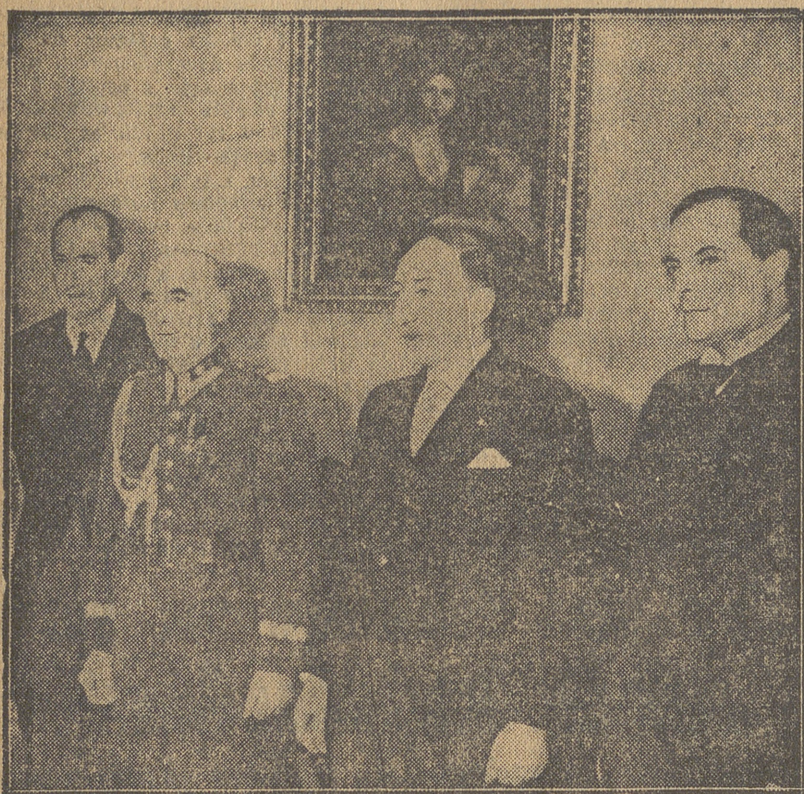


Zjazd osadników

Sprawozdanie w jutrzejszym numerze

Min. Delbos u P. Prezydenta i Marszałka Śmigłego-Rydza

Podczas obiadu u polskiego ministra spraw zagranicznych min. Delbos i min. Beck wygłosili toasty na cześć sojuszu polsko-francuskiego



Min. Delbos u Marszałka Śmigłego-Rydza

Wczoraj min. Delbos w towarzystwie min. Becka i ambasadora Francji Noela złożył o godz. 11.30 wizytę p. premierowi gen. Sławojowi Składkowskiemu.

Z pałacu Prezydium Rady Ministrów p. minister Delbos w towarzystwie min. Becka i amb. Noela udał się do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, gdzie złożył wizytę Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi.

O godz. 13-ej min. Delbos złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. W czasie uroczystości składania wieńca obecni byli: dowódca O. K. gen. Trojanowski, komendant miasta płk Machowicz, dyrektor protokółu dyplomatycznego M. S. Z. Romer, ze strony francuskiej — członkowie ambasady francuskiej w Warszawie z amb. Noelem.

W chwili przybycia p. ministra Delbosa kompania chorągwiana oddała honory wojskowe, a orkiestra odegrała Hymn Narodowy francuski.

Po złożeniu wieńca orkiestra wojskowa odegrała Hymn Narodowy polski, po czym min. Delbos wpisał się do księgi pamiątkowej.

O godz. 13.15 min. Delbos udał się na Zamek, gdzie był przyjęty na audiencji przez Pana Prezydenta Rzplitej.

O godz. 13.30 P. Prezydent Rzplitej podejmował min. Delbosa oraz towarzyszące Mu osoby śniadaniem na Zamku Królewskim.

O godz. 16.30 pan prezes Rady Ministrów gen. Sławoj Składkowski rewizytował min. spr. zagranicznych Francji Delbosa.

O godz. 17-ej min. Delbos rewizytował minister J. Beck.

O godz. 20 m. 30 minister spraw zagranicznych J. Beck podejmował min. Delbosa obiadem.

Podczas obiadu minister Beck wygłosił toast, na który odpowiedział minister Delbos (oba przemówienia podajemy na str. 2-ej).

Po obiedzie odbył się raut w salonach Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Szef uzbrojenia organizacji „CSAR" przed sędzią śledczym

PARYŻ, 4.12. Sędzia śledczy, prowadzący śledztwo w sprawie organizacji „CSAR", podpisał dziś rano nakaz sprowadzenia Andre Tenaille.

Badanie jego wykazało, iż był on jednym z szefów uzbrojenia organizacji. On to założył warsztat, w którym ładowano granaty, wykryty onegdaj w dawniej leśniczówce w Echoublancs w departamencie Seine et Marne.

Po przesłuchaniu Tenaille postawiony został w stan oskarżenia za należenie do organizacji „CSAR".

Wiceminister Sokołowski otworzy dziś kiermasz kupiecki

Dziś o godz. 12 w południe odbędzie się uroczyste otwarcie VII kiermaszu kupieckiego, organizowanego przez Centralny Zw. Detalicznego Kupiectwa Chrześcijańskiego.

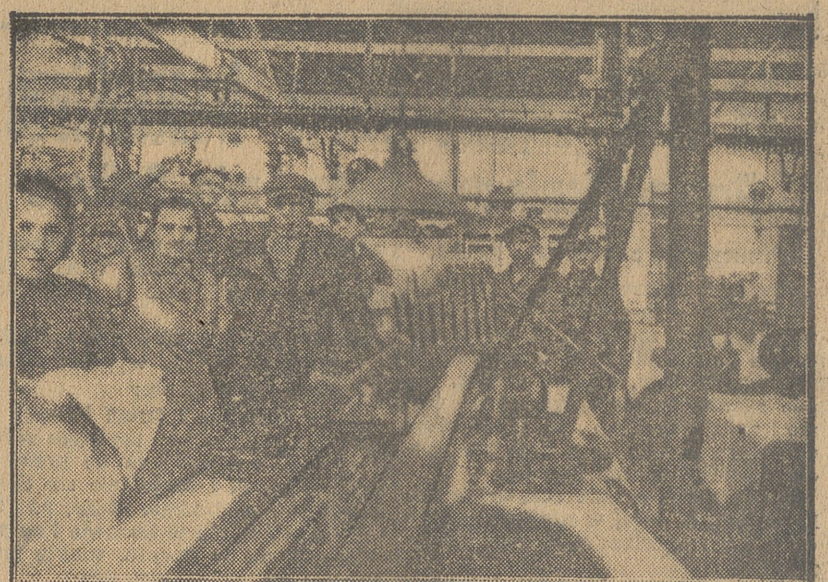
W zastępstwie min. Romana kiermasz otworzy wiceminister Przem. i Handlu dr Sokołowski.

Kiermasz kupiecki ma na celu zapoznanie najdrobniejszego kupiectwa chrześcijańskiego z wytwórcami, aby umożliwić bezpośrednie transakcje kupiectwa z hurtem, bez kosztownego pośrednictwa.

Zapowiada się on niezwykle ciekawie, w kiermaszu bowiem udział biorą najpoważniejsze placówki przemysłu polskiego.

„Gdyby maszyny umiały mówić..."

Brak słów na określenie wyzysku w Zelowie



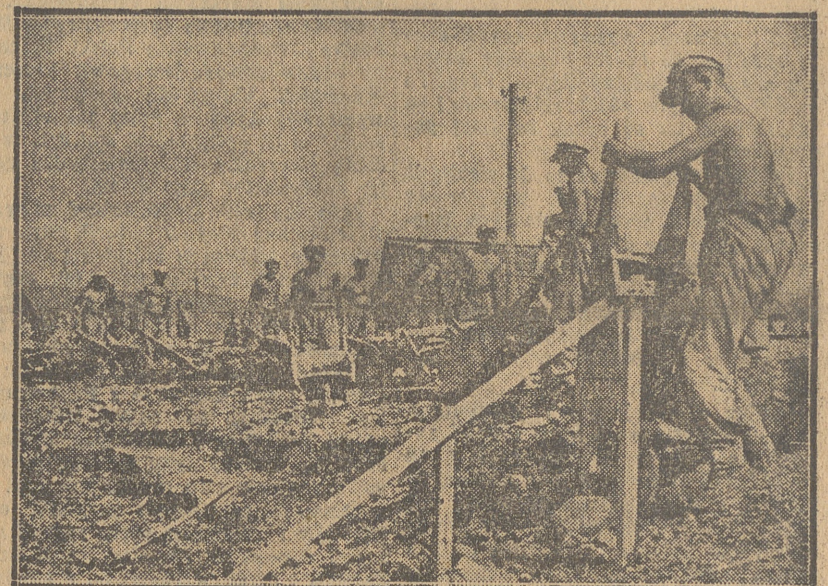
Zamarły warsztaty w wielkiej hali tkackiej.

W Zelowie, małej osadzie fabrycznej w łódzkim okręgu przemysłowym, od dwóch tygodni trwa strajk około 200 robotników w największej fabryce wyrobów bawełnianych — Józefa Jersaka. Strajk wybuchł jako ostatni wyraz protestu gnębionych w bezprzykładny sposób tkaczy.

Jedna ze strajkujących nie mogła nawet mówić o wyzysku w Zelowie. Wyrzuciła z siebie jedynie znamienny okrzyk: „Gdyby maszyny umiały mówić".

Sensacyjne kulisy metod „osobliwego" przedsiębiorcy ujawnia reportaż naszego specjalnego wysłannika na str. 6-ej.

Junacy ściągają na leże zimowe



Na froncie pracy

Na str. 3-ej podajemy artykuł o pracy junaków. Po znojnym lecie ściągają oni obecnie na leże zimowe. Przez lato pełne trudu niejedną cegłę wmurowali w gmach Państwa Polskiego.

Musimy podkreślić znamienny fakt: wszędzie gdzie pracowali pozyskali serce społeczeństwa! To fakt najwymowniejszy.

Kolejarze poświęcają nowy sztandar

Dzisiejsze uroczystości Z. K. P. w stolicy

Dziś o godz. 9 rano odbędzie się w kościele Św. Aleksandra uroczystość poświęcenia sztandaru okręgu warszawskiego Zjednoczenia Kolejowców Polskich.

Po poświęceniu — organizacja z nowym sztandarem na czele uda się pochodem do gmachu Domu Katolickiego (Nowogrodzka 49), gdzie w sali kina „Roma" odbędzie się uroczysta akademia okolicznościowa.

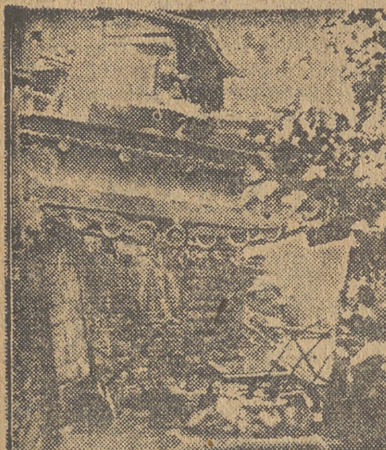
Sąd krakowski skazał zabójcę-bandytę na karę śmierci

KRAKÓW. 4.12. — Tel. wł. — Po raz pierwszy od czasów głośnego procesu Malisza, zapadł dziś wyrok śmierci w sądzie krakowskim.

Przez cały dzień dzisiejszy toczył się proces Stanisława Żelaznego, groźnego bandyty, uciekiniera z więzienia rzeszowskiego. Żelazny w czasie pościgu policji zastrzelił obok dworca krakowskiego jednego z przechodniów i ranił posterunkowego.

Aż do ostatniej chwili oskarżony zachowywał się zupełnie spokojnie i wypierał się kategorycznie zbrodni. W ostatnim słowie bandyta prosił o uniewinnienie, albo o karę śmierci. Przysięgli 12-ma głosami zatwierdzili jego winę, a sąd skazał go na karę śmierci, biorąc pod uwagę niepoprawny charakter zbrodniarza, niebezpieczeństwo dla porządku publicznego, zupełny brak skruchy. Bandyta przyjął wyrok z kamiennym spokojem.

Most runął pod ciężarem czołgu



Stary mostek na kanale między domami wiejskimi na froncie szanghajskim załamał się pod ciężarem czołgu japońskiego

Zatarg w dzielnicy międzynarodowej Szanghaju oraz szczegółowe wiadomości z pola walk w Chinach podajemy na str. 2-ej.

Znów odkryto gazy ziemne na terenie Małopolski

Tania energia dla Okręgu Centralnego

Z Borysławia donoszą, że na terenach gminy Przyborowie, należących do Spółki Naftowej „Pollon", odkryto na głębokości 220 metrów bardzo silne, suche, bezwodne gazy. Pomiary wykazały przy wolnym wypływie 30 m sześc. na minutę. Ciśnienie gazów jest tak wielkie, że — przy natrafianiu na złoże — 9-calowy świder wiertniczy wraz z całym przewodem został wyrzucony na wysokość 80 m.

Wedle oceny geologów, na terenie gminy Przyborowie, gdzie wspomniana spółka posiada ponad 100 tys. mórg gruntu, znajdują się obfite złoża gazowe w głębszych pokładach miocenu.

Odkrycie złóż gazowych na tym terenie jest uważane za jeden z największych sukcesów przemysłu naftowego, gdyż zapewnia źródło energii dla powstającego ciężkiego przemysłu w trójkącie San — Wisła.

Krwawy dramat na sali sądowej podczas rozprawy o alimenty

BUKARESZT, 4.12. — W gmachu Pałacu Sprawiedliwości rozegrał się dziś krwawy dramat.

W jednej z sal odbywał się proces przeciwko inż. Urlateanu, pozwanemu o 3 miliony lei przez pannę Dornescu, która przez szereg lat była jego przyjaciółką.

W czasie rozprawy, gdy jeden ze świadków złożył zeznania niekorzystne dla powódki, **Dornescu dobyła rewolweru i pięcioma kulami położyła inż. Urlateanu trupem na miejscu, po czym strzeliła sobie w skroń.**

Zabójczyni walczy ze śmiercią.

Dzieci wbiegły na jezdnię i padły zmasakrowane przez samochód

KRAKÓW, 4.12. — Tel. wł. — O godz. 3-ej po poł. na ul. Starowiślanej w Krakowie zdarzył się straszny wypadek. W chwili, gdy przejeżdżało tamtędy auto policyjne, wbiegło na jezdnię dwoje dzieci. Szofer skręcił w ostatniej chwili i z impetem wpadł na latarnię, rozbijając ją.

Dzieci, mimo to, nie uniknęły katastrofy: 8-letni chłopiec, Stanisław Banachowski, doznał rozbicia czaszki z wypłynięciem mózgu, tak że w beznadziejnym stanie przewieziono go do szpitala. Biegnąca z nim 14-letnia dziewczynka doznała lżejszych kontuzji.

Początkowo nie można było ustalić nazwiska kontuzjowanego chłopca. Dopiero po czterech godzinach zrozpaczony ojciec zgłosił się do szpitala. (G)

100 osób rannych w strasznej katastrofie

Załamała się podłoga pod gośćmi weselnymi

W piątek nad ranem w osadzie Jeżów pod Koluszkami wydarzyła się tragiczna katastrofa, w której około 100 osób zostało rannych.

Właściciel domu Sobkiewicz wydawał za mąż swoją córkę i zaprosił kilkaset osób. Nagle podczas tańców podłoga na sali nie wytrzymała ciężaru i wszyscy uczestnicy zabawy runęli do piwnicy.

Na domiar złego wpadła do piwnicy kuchnia szamotowa, na której gotowano potrawy. Pod podłogą ukazały się kłęby dymu i języki ognia. Przeraźliwe krzyki poturbowanych i poparzonych zaalarmowały okolicznych mieszkańców.

Z Koluszek i Rogowa sprowadzono kilku lekarzy, którzy zajęli się rannymi. Ogień w zarodku ugaszono. Najbardziej ucierpiało kilkanaście osób poparzonych wrzątkiem. Dalszych kilkanaście osób doznało złamań rąk i nóg.

Rannych umieszczono w szpitalu jeżowskim oraz w Koluszkach. Na miejsce zjechali przedstawiciele władz śledczych i komisji budowlanej, którzy ustalą przyczyny katastrofy. (w).

Dziś wszyscy Czytelnicy wybierają Najdzielniejszą i 4 Dzielne Pracownice PRAGI

Obok podajemy dwie pierwsze (według kolejności alfabetycznej) kandydatki do tytułu Najdzielniejszej Pracownicy Pragi. 20 pozostałych fotografii i życiorysów podajemy na str. 6-ej.

Na str. 6-ej przypominamy, gdzie należy składać głosy, podając wykaz punktów, gdzie znajdują się opieczętowane urny wyborcze.

Kartkę do głosowania zamieszczamy na str. 2-ej (u góry).



NR. 1. STEFANIA BARBUSKA.

Cierpi nędzę handlując na ulicy cytrynami i słodyczami.

Zarabia 50 groszy dziennie. Ma na utrzymaniu matkę i dziecko.

Ciężką swą pracę zaczęła w jedenastym roku życia, a od tego czasu zarobki jej nic nie wzrosły.

Mieszka przy ul. Grochowskiej 126.



NR. 2. EUGENIA BIELAWSKA.

Zapytajcie pierwszego z brzegu lokatora domu, w którym mieszka, o najpopularniejszą, najbardziej lubianą osobę, każdy wskaże p. Eugenię, która od 20 lat pracuje w tartaku jako robotnica i jest dozorczynią domu przy **ul. Radzymińskiej 120.**

Zwracamy uwagę na konkurs P. K. O. zamieszczony na stronicy 3-ej. Uczestników oczekują liczne nagrody

Długotrwały strajk tkaczy fabrycznych w Zelowie to skutek straszliwych metod wyzysku

Oby ostatnie wspomnienie bliskiego Żyrardowa...

Okręg łódzki, centrum przemysłu włókienniczego, ośrodek bawełny, baronów i najcięższej pracy robotniczej, ma nową smutną sensację. Jest nią przedłużający się wciąż strajk okupacyjny około 200 robotników wielkiej fabryki wyrobów bawełnianych Józefa Jersaka w Zelowie, małej dziesięciotysięcznej osadzie w pow. łaskim.

Strajk w Zelowie jest pierwszym w dziejach tej osady chałupniczej strajkiem okupacyjnym, strajkiem, którego można było z całą pewnością uniknąć, gdyby...

To tragiczne „gdyby" zaciążyło nad fabryczną osadą tkaczy. Od dwóch tygodni jest ono jedynym tematem rozmów, przedmiotem licznych konferencyj związków robotniczych z władzami, wreszcie refleksyj ludności w samym Zelowie i całym powiecie.

Na św. Anny

Fabryka Jersaka mieści się w samym środku osady, przy ul. św. Anny, o kilkaset kroków od głównego rynku, standartowego niemal rynku wszystkich miasteczek w Kongresówce.

Ulica zabudowana jest z jednej strony: nędznie, niechlujnie i brudno. Rynsztoki niebrukowanej, napęczniałej wilgocią jezdni spływają w pole brudnymi kałużami ścieków. W rzadkich promieniach światła odbija się w nich refleks zniekształconej tęczy.

Ulicę pustą i bezludną zamykają olbrzymie zabudowania z czerwonej cegły, odgrodzone od miasta murowanym płotem.

Jesteśmy na miejscu — w fabryce Jersaka.

200 ludzi

Wąskie fabryczne podwórko prowadzi do tkalni.

Przed nią kontrola, to posterunki strajkowe.

Wprowadzają nas za chwilę do hali maszyn, do delegata.

Jest i on — młody jeszcze, ale już zniszczony robociarz o zapadłej klatce piersiowej, gardłowym głosie i cerze przeżartej kurzem najlichszej bawełny, oparami barwników i wyziewami przegrzanej oliwy.

Grupa strajkujących w fabryce Jersaka.

Taką cerę mają tu zresztą wszyscy otaczający nas robotnicy. Jest ich coraz więcej, z suszarni, farbiarni i magazynów schodzą się pojedyńczo i grupami, tworząc zacieśniający się coraz bardziej krąg.

O co poszło?

Szmer ucicha, gdy zaczyna mówić delegat.

— Pracuję u Jersaka już od wielu lat. Warunki pracy w tym największym zelowskim zakładzie przemysłowym nigdy nie były dobre, ostatnio jednak pogorszyły się strasznie.

Nie honorowano postanowień zawartej dla okręgu łódzkiego umowy zbiorowej, wszelkie napominania i uwagi Inspekcji Pracy zbywano niczym.

Wprowadzono stosowane chyba wśród murzynów tylko stawki teoretyczne, z tym, że każdy musi je osiągnąć pracą akordową. Równocześnie stopniowo pogarszano gatunek bawełny i obniżano ceny jednostkowe od metra utkanego materiału.

Trzeba było ich utkać o wiele, wiele więcej, niż wszędzie indziej, zamiast na 2-ch, jak to jest wszędzie kazano pracować na 3 i 4 warsztatach.

Stawki teoretyczne wynosiły 6 i 5 zł dziennie.

W praktyce, przy największym wysiłku zarabiano od 1,5 do 2,5 zł dziennie — 15 zł tygodniowo...

Rozmowie przysłuchuje się tłum. Potakują, przypominają szczegóły, opowiadają, jak bardzo ciężko z zarobków tych było wyżyć.

Gdyby maszyny umiały mówić...

Z tłumu wyrywa się okrzyk starszej kobiety.

Gdyby te maszyny umiały mówić!...

Ale maszyny nie mówią. Stoją rzędami, przeraźliwie spokojne, znieruchomiałe. Na ramach warsztatów tu i ówdzie wisi niewykończona płachtą drukowanej bawełny.

Leżą zwoje jej naprzeciw okna. Jeszcze i już nie zaczęte...

Niepoprawnych wydalać...

Opowiadanie ludzi wyświetla historię straszliwego wyzysku dalej.

— Długi czas znoszono to spokojnie. Żyć trzeba, każdy dzień nie przepracowany to przy 50-cio złotowym miesięcznym budżecie rodziny zelowskiego robotnika strata niepowetowana. Pracowali więc i cierpieli — niechęć i poczucie własnej krzywdy rosły...

Dopełniła się miara, **gdy kierownik fabryki począł wydalać robotników, którzy nie mogli „wyrobić" podwyższanych coraz bardziej norm pracy.**

Stosowano politykę napominania... wymówieniami.

Gdy tylko ktoś przepisanej normy nie osiągnął, dosięgało go wymówienie, z tym, że będzie ponownie przyjęty, jeśli w okresie wymówienia się „poprawi". Niektórzy „poprawiali się"; dłużej ślęczeli nad migającymi tam i z powrotem krosnami tkackich warsztatów, zdwajali pracowitość i uwagę.

Nie pomogło... Przed dwoma tygodniami 2 spośród 7, którzy „poprawić się" nie potrafili — wydalono.

Wyciśnięci do ostatnich sił, wyeksploatowani ponad granice możliwości ludzie pójść mieli na bruk.

Wszyscy oprzytomnieli. Stało się przeraźliwie jasne, że w następnej kolejce pójść mogą i oni, że nic nie powstrzyma bezprzykładnej fali wyzysku.

Wymówienie stało się hasłem strajku — pierwszego strajku okupacyjnego w dziejach małej chałupniczej osady.

Żądania

Zażądano przyjęcia niesłusznie zwolnionych robotników i przestrzegania umowy zbiorowej co do warunków pracy, orzeczenia zaś co do cen.

Przede wszystkim jednak zażądano wypłaty różnicy między otrzymanymi za pracę pieniędzmi, a istotnymi zarobkami, ustalonymi przez orzeczenie arbitrażowe dla okręgu łódzkiego. Różnica ta od chwili wydania orzeczenia wynosi około 30 tys. zł.

„Prędzej inspekcji zabraknie papieru"

Natychmiast po wybuchu strajku Inspekcja Pracy zwołała konferencję. Właściciel na nią się nie stawił, nie stawił się też na kilka konferencyj następnych. Ukarano go kilku mandatami za niestawiennictwo.

Grzywnę chętnie zapłacił, a robotnikom powiedział przez „trzecie usta", że **prędzej inspekcji zabraknie papieru i atramentu do pisania protokółów, niż jemu pieniędzy do płacenia mandatów.**

Zatargiem zajęły się władze administracyjne. Wczoraj w Łasku w starostwie odbyła się w tej sprawie konferencja. I ona spełzła na niczym.

Jak słychać, administracja ma już „metod" pomysłowego przedsiębiorcy wyżej uszu. W najbliższych dniach starostwo spodziewa **się zmusić właściciela do wypłaty zaległości i porozumienia ze strajkującymi. Ich postulaty uznano za słuszne ponad wszelką wątpliwość.**

Obiad robotników.

Strajk trwa

Strajk więc trwa. W martwej ciszy zelowskich zakładów Jersaka ożywają niedawne wspomnienia innych podobnych metod i równie podobnego protestu.

To **Żyrardów za czasów francuskich koncesjonariuszów** — miasto potu i łez, straszliwych metod cudzoziemskiego kapitału i upokorzenia robotników.

Zelów — osada chałupnicza w pow. łaskim to jeszcze jeden, oby ostatni już Żyradów... (o)

Bunty rzemieślnicze w średniowieczu

Walka czeladników z majstrami pod murami Lwowa

W starych murach Krakowa zapanowało niezwykłe podniecenie. W gospodzie starszyzny cechowej rozeszła się wieść, jakoby czeladnicy urządzali przeróżne schadzki, podczas których radzono nad rozmaitymi sprawami. Mówiono, że czeladź ma domagać się lepszych warunków bytu i lepszego traktowania ze strony majstrów.

Okazało się, że majstrowie krakowscy mieli wszelkie podstawy do niepokoju. Czeladnicy, podnosząc bunt, zamierzali jednocześnie porzucić pracę. Takiej niesubordynacji, jak Kraków Krakowem jeszcze nie było.

Zrazu niedowierzano pogłoskom i donosicielom. Kiedy wreszcie okazało się że czeladnicy nie rezygnują z czynnego wystąpienia i poważnie myślą o porzuceniu pracy, zaniepokoili się majstrowie. Zebrali się na naradę. Sam burmistrz miasta przyszedł do gospody starszyzny i w skupieniu słuchał, jak majstrowie rozwodzili swe żale i pretensje do niewdzięcznych czeladników. Po długich naradach postanowiono wejść w układ z czeladnikami. Pośrednictwa podjął się burmistrz. Ale niestety akcja jego zakończyła się niepowodzeniem. Strajk — jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — wybuchu.

Czeladnicy biegali po mieście, jak opętani. Głośno opowiadali o swej krzywdzie, odgrażali się majstrom, a niektórzy, bardziej lekkomyślni, dziegciem i sadzami z pierzem malowali drzwi swych chlebodawców.

Już siedem dni trwał zatarg. Wreszcie majstrom przyszły z pomocą ówczesne władze miejskie. Rada krakowska bardzo szybko załatwiła się z opornymi czeladnikami. 16-tu najbardziej agresywnych osądzono w przyspieszonym trybie i wyrzucono ich raz na zawsze z miasta.

Opisywany epizod rozegrał się w 1392 r.

W starych kronikach lwowskich znajduje się wstrząsający opis walki uczniów i czeladzi krawieckiej nieludzko wyzyskiwanych przez majstrów widać dobrze musieli majstrowie dokuczyć młodzieży, skoro ta pewnej nocy postanowiła opuścić swych majstrów, przenieść się do innych miast i tam szukać sobie patronów.

Majstrowie krawieccy dowiedziawszy się o zamierzeniach swych czeladników postanowili zapobiec ucieczce. Namawiano zbuntowanych do zgody, ofiarowywano lepsze szaty, lżejszą pracę. Czeladnicy byli niezłomni.

Przepisy zawodowe w onych czasach nie pozwalały czeladnikom na opuszczenie miasta bez zgody patrona. Dlatego też postanowiono pod osłoną nocy opuścić gremialnie mury Lwowa i stworzyć tym sposobem wyłom w prawie, czyniącym z ucznia niewolnika przywiązanego do miasta i mogącego się obracać tylko i wyłącznie w ramach grodu, w którym pracuje.

Ale i majstrowie nie zasypiali gruszek w popiele. Postanowili dać tęgą nauczkę niesfornym czeladnikom i uczniom. Uzyskawszy aprobatę burmistrza, którego pieczy powierzone były klucze od bram i kontrola nad strażnikami miejskimi ustawili swoje straże cechowe przed bramami miasta, mające czuwać, aby w nocy nie śmiał wyjść żaden czeladnik poza granice miasta.

Przez kilka dni czuwały czaty cechowe. Pewnej nocy kiedy chyłkiem zaczęli przemycać się przez mury uciekający czeladnicy, na nieszczęśliwych chłopców rzucili się strażnicy miejscy i cechowi.

Wywiązała się długotrwała potyczka między uciekającymi i strażnikami.

A kiedy dzień zwyciężył noc, pod murami lwowskiej bramy na pobojowisku zostało kilkanaście trupów czeladniczych...

Kilku uczniom i czeladnikom udało się zbiec, pozostali przy życiu, srodze poturbowani i pokaleczeni wrócili do miasta, gdzie przez pewien czas tułali się. Kiedy wreszcie za wstawiennictwem rozsądniejszych rzemieślników konflikt został zlikwidowany, niedoszli zbiegowie wrócili do swych majstrów i pracowali już dalej w zgodzie i harmonii. Wielu z nich stało się wkrótce samodzielnymi majstrami i zyskało w mieście duże poważanie.

Po wielu latach, już jako dojrzali mężczyźni i czcigodni mieszczanie uczestnicy bitwy uczcili pamięć poległych swoich kolegów. Na miejscu ich śmierci wybudowany został kościół Św. Anny, który został uroczyście otwarty w 1507 roku.

TYGODNIK POWSZECHNY

WYPADŁEM Z PAMIĘCI JAKO ZMARŁY

W przestrzeni publicznej Zelowa koło Łodzi próżno by szukać informacji, że przed wrześniem 1939 r. jedną trzecią miasteczka stanowili Żydzi. Odnajdźmy ich ślady.




כנ איש רך בשנים
עסק באמונה תם וישר



To najbardziej osobisty tekst, jaki napisałam. Powstał ze zdumienia, że tak szybko znikają ze zbiorowej pamięci tysiące ludzi. A także ze wstydu, że tak późno połączyłam fakty. I jeszcze jedno: może znajdę gdzieś odpowiedź, do kogo należy pamięć po zmarłych?

Ale od początku. Moja mama urodziła się w Zelowie koło Łodzi i mieszkała tu do 14. roku życia. W dzieciństwie spędzałam w Zelowie większość wakacji. Babcia co roku przestrzegała: nie chodźcie na piaski za cmentarzem. Zakazywała zbierać tam grzyby i jagody. Ale i tak chodziliśmy z kuzynami. Mieliśmy prawdziwe wydmy, choć bez morza. Czasem piasek osuwał się i ukazywał czaszki, piszczele, żebra. Gdy zapytaliśmy o kości, babcia wyjaśniła, że był tam stary cmentarz. I znów prosiła: nie bawcie się tam.

Nikt z bliskich nigdy nie zdradził, że to kirkut (a więc nie taki stary cmentarz). Nikt też nie powiedział, że dom, w którym w 1954 r. urodziła się mama, przed wojną należał do Żydów. A osiedle, na które w latach 60. XX w. przeprowadziła się jej rodzina, powstało na piaskach z kirkutu. Albo że dzisiejszy budynek poczty był synagogą.

Gdy wybuchła II wojna światowa, moi dziadkowie zostali wywiezieni ze swymi rodzinami na przymusowe roboty do Niemiec. Mieli wtedy po 13 lat i mieszkali w wioskach pod Zelowem. Gdy wrócili, mieli prawie po 20 lat. Musieli słyszeć, co się stało. Milczeli. Historię zelowskich Żydów poznałam dzięki Sławojowi Kopce, autorowi książki „Wszyscy się nas boją" wydanej w 2012 r.

W 2019 r. wciąż w miasteczku nie ma ani słowa o tym, że przed 80 laty jedną trzecią ludności stanowili Żydzi. I że podczas wojny było getto dla 9 tys. ludzi.

Jakby ich tu nigdy nie było.

Negatyw wzniesienia

Gdy Mordko Breitbart siedział samotnie w kryjówce na cmentarzu w Pożdżenicach, mógł mieć nadzieję, że jego rodzice i siostry, Bronia i Józia, jeszcze żyją (zginęli w Treblince). W pamiętniku zapisał: „Kto wskaże im grób, żeby przyjść kiedyś mogli, spłakać swe skrwawione serce rodzicielskie?".

Kirkut w Zelowie leżał na wzniesieniu. Niemcy wyrwali macewy: wybrukowali nimi wjazd do siedziby Gestapo i część placu w getcie. Po wojnie z kirkutu wydobywano piasek na budowy. Nie wiadomo, gdzie wyrzucano wykopane wraz z piaskiem ludzkie szczątki.

Dziś w miejscu pagórka jest dół porośnięty chaszczami, jak negatyw, anty-wzgórze. Zniknęły macewy, szczątki, geologiczna substancja miejsca. Powstała wyrwa – jak metafora utraconej pamięci o żydowskiej społeczności Zelowa.

Sławoj Kopka: – Gdy byłem chłopcem, pamiętam zabawy na tzw. górkach, za katolickim cmentarzem. Zaglądaliśmy też na kirkut, już bardzo zaniedbany, oglądaliśmy resztki płyt nagrobnych, całych macew już chyba nie było, a wokół walały się kości, niekiedy prawie kompletne szkielety. Nikt się wówczas tym nie interesował ani nie przejmował. Ponad 40 lat później ktoś opowiadał warszawskiemu redaktorowi, że „nie tak dawno, 15 lat temu, chodziliśmy tam i wyciągaliśmy kości z grobów. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co robimy, a było to hobby zelowskich dzieci. Skończyła się zabawa, gdy wrzuciliśmy nielubianemu nauczycielowi do ogródka masę ludzkich kości”.

Kopka: – Potem zaczęto stamtąd wybierać piach na budowy. Myślę, że niejeden dom w Zelowie stoi na żydowskich prochach. Może to porażające skojarzenie, ale niedalekie od prawdy, że w ten sposób zelowscy Żydzi zostali tu na zawsze.

Zelów, „mała Łódź"

Było to ponad 200 lat temu, gdy osadnicy z Czech przekształcili niewielką wioskę Zelów w tkacką osadę. Za nimi przyszli tu Żydzi. Osada rozrastała się, by na początku XX w. zyskać przydomek „małej Łodzi". Wraz z rozwojem tkactwa powstawały fortuny, w krótkim czasie większość kamieniczek przy Rynku stała się własnością Żydów. W 1922 r. do wyborów do Sejmu RP uprawnionych było 3486 mieszkańców żydowskiego pochodzenia.

Był kirkut, cheder, Towarzystwo Żydowskie, prywatna szkoła religijna, Koło Dramatyczne, osiem partii politycznych, pięć bibliotek, dwa banki, kasa pomocy. Jedyna taksówka należała do Mosze Siwka, a bracia Bronsztajnowie (Bransztajnowie?) grali we Włókniarzu, zelowskiej drużynie piłkarskiej. Największa fabryka tekstylna należała do Jakuba Lewiego, inne do Kopla i Libermana.

Ze spisu z grudnia 1939 r. wynika, że w Zelowie żyło prawie 4 tys. Czechów, 3,5 tys. Żydów i 2,5 tys. Polaków. Wojnę przeżyło 60 Żydów.

Z dziennika Mordka Breitbarta: „Gdzieście tyrani zapodziali mój Naród?".

Wspomnienia po latach

Sławoj Kopka urodził się w Zelowie w czasie wojny, mieszkał przy ul. Kilińskiego. W 1963 r. wyjechał, od lat żyje w Warszawie. Do Zelowa wracał na krótko, odwiedzić rodziców. Historią miasta zainteresował się podczas 40-lecia matury, w 2002 r., gdy okazało się, że koledzy i koleżanki zaczęli sobie coś przypominać z dzieciństwa, pokazywać zdjęcia. We wszystkich wspomnieniach przewijali się Żydzi: jako dobrzy sąsiedzi, koledzy z klasy, z podwórka.

– Materiału było tyle, że musiałem napisać książkę o Żydach z Zelowa – mówi Kopka. – Zacząłem badać różne źródła i ze zdumieniem odkryłem, że młodość spędziłem w domu Fradli Szylit i jej rodziny. Tam, gdzie była moja sypialnia, była owocarnia: Szylitowie zajmowali się handlem owocami i warzywami. Odkryłem to dopiero 60 lat później.

Czy w jego domu rodzinnym mówiło się o Żydach? – Nie, nigdy. Ale też nigdy nie pytałem, bo nic o nich nie wiedziałem.

Kopka pamięta z dzieciństwa czas, gdy kirkut był górką, z której zimą zjeżdżało się na nartach.

Fradla ucieka z getta w fabryce

Pokonanie tego dystansu – przebiegnięcie na drugą stronę ul. Kilińskiego – mogło zająć Fradli kilka sekund. Fabryka nie była już fabryką, lecz gettem, a dom fabrykanta stał się dla niej kryjówką.

W zelowskim getcie nie było ogrodzenia, tylko umowny kwadrat między ulicami: św. Anny, Żeromskiego, Dzielną i Wschodnią. Według różnych źródeł mogło w getcie żyć 9 tys. Żydów, tutejszych i zwiezionych z okolicy. Na terenie fabryk skoszarowano kilka tysięcy ludzi.

W dawnej fabryce Lewiego (ul. Kilińskiego 5) Niemcy zorganizowali punkt załadunkowy. Auta były wysokie, chorych, starych, kobiety, dzieci wrzucali na pakę jak rzeczy. Wywozili ich do obozu w Chełmnie nad Nerem, gdzie zabijali w autach przerobionych na komory gazowe.

Świadek likwidacji getta, nazwiskiem Władysławski, wspominał: „Do ostatniej minuty wierzyliśmy, że Zelowa nie »wyżydują«. (...) Ale to nieszczęście też nadeszło – 14 sierpnia 1942 przyszedł rozkaz, że Żydzi mają się zebrać na placu, na Rynku. Do wykonania tej akcji przybył z Łodzi oddział, którym dowodził »słynny« Biebow. W miejscowym chrześcijańskim kościele zamknęli 150 Żydówek i Żydów, resztę wygonili do dawnej żydowskiej fabryki. Tam pakowali ich do ciężarówek do Chełmna. Trwało to trzy dni. Tych zamkniętych przez ten czas w kościele, bez żadnych warunków sanitarnych, wzięli później do czyszczenia pustych mieszkań, zebrania i przetransportowania pozostałego mienia żydowskiego. Potem wysłano ich do getta w Łodzi”.

Fradla Szylit (po wojnie zmieniła imię i nazwisko) dopiero po 65 latach opowiedziała Kopce po raz pierwszy, kim jest i jak tamtego sierpniowego dnia udało się jej uciec z fabryki. Miała 16 lat. Wśród pilnujących policjantów z *Ordnungspolizei* był jej znajomy. Wyciągnął ją spośród czekających na załadunek i ukrył naprzeciw, w domu Lewiego, zamieszkanym teraz przez niemieckich oficerów. Przesiedziała tydzień w schowku pod schodami, słysząc biegających nad jej głową Niemców i krzyki Żydów. Potem wszystko ucichło.

Młyn: gdzie moje dzieci?

Firlej leży w lasach, 10 km od Zelowa. Młyn Wilczyńskich stał daleko za ostatnimi zabudowaniami wsi. Świadkowie mówią, że gdy Niemcy przyszli aresztować Eleonorę Wilczyńską, „łubin już rósł na Żydach wysoki".

Eleonora, żona zniedołężniałego właściciela młyna, od jesieni 1942 r. ukrywała w swojej oborze Żydów: Mosze Breitbarta, szewca z pobliskiego Szczercowa, jego dwóch synów, Mordka i Herszlika (ten drugi był technikiem dentystycznym z Zelowa), żonę Herszlika Chaję oraz kolejnego Mordka (bratanka Moszego, także technika dentystycznego). Uciekli z transportu z łódzkiego getta do Treblinki. Wilczyńska ukrywała u siebie pierwszych pięcioro, a bratanek Mordko zakradał się do kryjówki nocami.

Wiele wskazuje na to, że Breitbartowie byli z Wilczyńską wcześniej umówieni, że będą się u niej ukrywać – znali ją sprzed wojny, kupowali u niej torf, a ona i jej dzieci leczyli zęby u Herszlika.

Mosze zeznał potem Niemcom: „Oddaliśmy następujące rzeczy: 2 płaszcze męskie, 2 płaszcze damskie, 2 ubrania kobiece, 2 pary butów, jeden kołnierz futrzany, jedną parę damskich butów brązowych. Pani W. chciała te rzeczy przechować w mieszkaniu. Około 2 tygodnie później wyjaśniła nam pani W. w obecności swojej córki, że nie wolno nam posiadać żadnych wartościowych przedmiotów. Mamy te przedmioty przekazać jej, a w zamian dostaniemy opiekę i jedzenie, a nawet pranie rzeczy itd. Zgodziliśmy się na to, oddaliśmy: 80 dolarów papierowych i 3 pierścionki z brylantami. W kolejnym miesiącu chcieli od nas kolejne rzeczy. Wtedy oddaliśmy dwa damskie złote zegarki, jak również jeden pierścionek platynowy z dwoma małymi brylantami. Znowu po kilku dniach powiedziała pani W., że wszystko drożeje i musimy oddać dalsze rzeczy. Po tym oddaliśmy: jeden długi damski łańcuch i 2 funty angielskie. Po jakimś czasie zaczęła pani W. znów się z nami układać i mówiła, że mamy jeszcze sporo większy majątek i mamy oddać pozostałe rzeczy. Wtedy oddaliśmy 1000 marek niemieckich”.

W styczniu 1943 r. Chaja urodziła chłopca. 17 lipca Wilczyńska powiedziała Chai, że go weźmie do domu, bo tam mu będzie lepiej. Zamordowała siedmiomiesięczne niemowlę, a potem, razem z synem Marianem, także Chaję i Herszlika oraz jego brata Mordka. Zeznała potem, że użyła do tego dwóch kawałków sznura i trzech kawałków drewna. Chaję zabiła sama, tak jak jej dziecko.

Zbrodnię odkrył Mosze, który już wtedy udawał przed gospodarzami, że razem z bratankiem Mordkiem odeszli. Gdy zajrzał nocą do kryjówki, nie było nikogo z krewnych. Pytał Eleonorę: „Gdzie moje dzieci?". Kłamała, że sami odeszli trzy dni wcześniej.

Nie wiadomo, jak anonimowy list opisujący zbrodnię Wilczyńskich trafił w ręce Niemców, ale jesienią 1943 r. wszczęli w tej sprawie dochodzenie (wszak „porządek musiał być"). Świadkowie wspominają, że policjanci przyjechali konno. Szczątki synka Chai i Herszlika oddano do laboratorium w Łodzi, a w przesłuchaniach brali udział policjanci z łódzkiej *Kripo*, policji kryminalnej.

Wilczyńską i Mariana skazano na śmierć. Mąż, rzadko wychodzący z własnego łóżka staruszek, dostał dwa lata ciężkich robót. Z niemieckiego aktu oskarżenia: „Czy dopuścili się tego czynu z chciwości, niemożliwe jest do ustalenia, ponieważ wartościowe przedmioty otrzymali od Żydów jeszcze przed ich zamordowaniem".

Po tej zbrodni Mosze i jego bratanek ukrywali się w okolicy (w Zelowie dostawali od piekarza chleb). W marcu 1944 r. 50-letni Mosze wpadł w ręce niemieckich żandarmów, Mordko uciekł. Mosze był świadkiem w sprawie zbrodni w Firleju. Potem słuch o nim zaginął.

Bezpotrzebny człowiek

Ewangelicki cmentarz w lesie koło Pożdżenic (3,5 km od Zelowa) już w czasie II wojny uchodził za stary. Spoczywali na nim osadnicy niemieccy z XIX w. Tutaj w grobowcu ukrywał się Mordko Breitbart. Najpierw z wujem, potem sam. Wiemy, co czuł i myślał, bo zostawił zapiski.

Pisał: „Podły nikczemny świecie, czy łzy naszych matek, czy łzy naszych ojców, czy łzy naszych braci i sióstr i tych piskląt nie zmiękczyły waszych serc? Czy te strumienie łez nie dotarły do waszych oczu? Czy bylibyście tam, gdzie jesteście? Gdzie jest ma droga mamusia, moje siostry i bracia, czy mają co jeść, czy nie drżą z zimna? I śnię, że tyrani w końcu zamęczą bezbronnego Izraelitę. I wyzwoli się już z ich morderczych szponów i zaśnie snem wiecznym, nieprzerwanym. I przychodzi Izraelicie ostatnia przedśmiertna myśl, że gdy zjawi się matka, ojciec, siostra lub brat, i gdy będą chcieli wstawić małymi literami skromny napis:

Tu leży jedna z ofiar Hitleryzmu
Bezpotrzebny człowiek świata
Izraelita trędowaty dla otoczenia
Żyd wieczny tułacz.

Uratowały go trzy kobiety, siostry Kühn, z pochodzenia Niemki: Anna Bejenke, Eugenia Stawiak i Amelia Stępczyńska. Mordko po trosze mieszkał u nich, w stodołach i schowkach na węgiel; cieplejsze miesiące spędzał w grobowcu. Gdy któraś przychodziła na cmentarz z jedzeniem, na znak uderzała w garnek łyżką. Pomagała mu też Aurelia Nikiel, żona niemieckiego żandarma.

Macewy

Dłonie stykają się kciukami i palcami wskazującymi, dwa ostatnie palce odchylone – podczas świąt tym gestem rabin błogosławił wiernych. W judaistycznej tradycji pogrzebowej ten symbol umieszczano na grobach rabinów. Wykuty obok dłoni relief szafy z książkami potwierdza, że zmarły był uczonym w piśmie, czytał Torę w synagodze. Trzeci symbol – złamane drzewo, wypuszczające liście – wskazuje, że zmarł młodo.

Być może to macewa z grobu Leiba Kleina albo jego zastępcy Joshui Lisnera? A może leżał pod nią rabbi Weinberg?

Już w latach 60. XX w. pastor Mirosław Jelinek napisał list do Żydowskiego Instytutu Historycznego, że macewy są na terenie jego zboru i trzeba je zabezpieczyć albo gdzieś przetransportować. Nie dostał odpowiedzi.

Sławoj Kopka mówi, że od lat usiłuje zainteresować macewami różne instytucje i muzea. Bezskutecznie: – Żydzi warszawscy nie są zainteresowani Zelowem. Gdy im mówię o macewach, patrzą podejrzliwie: co ten goj wygaduje? A gdy rozmawiam z nie-Żydami, też patrzą podejrzliwie: a pan jakiej jest narodowości? Nieraz słyszałem to pytanie. Dla wszystkich jestem podejrzany. Ludzie myślą, że załatwiam sobie w ten sposób jakieś interesy.

Szubienica za sklepem

Większość żydowskich nagrobków, zwłaszcza na kirkutach w małych miasteczkach, była polichromowana.

Ta macewa leży w komórce na opał od wielu lat, ocalona przez emerytowaną nauczycielkę z ul. Kilińskiego. Nie wiadomo, kim był człowiek, który pod nią spoczywał. Lew to często występujący motyw na męskich nagrobkach żydowskich w Polsce. Symbol pokolenia Judy, rodu Dawida, także potęgi i silnej wiary. Natomiast korona oznacza pobożność, prawość, uczoność, doskonałość. Ale też głowę rodziny i wierność małżeńską.

Jedyne miejsce pamięci w Zelowie związane z Zagładą powstało z prywatnej inicjatywy. Małe parterowe pomieszczenie w kamienicy przy Rynku jest poświęcone Frai Wigdorowicz, mieszkance Zelowa, której szkolny zeszyt znaleziono w jednym z domów razem z innymi dokumentami. Wigdorowiczowie mieli tu fabryczkę.

Na ścianie od ulicy widać niestarannie zamalowaną gwiazdę Dawida na szubienicy. Czy autor namalowałby ją, gdyby wiedział, co zdarzyło się tu niedaleko kilkadziesiąt lat wcześniej? Czy potrafiłby sobie wyobrazić szubienicę, na której można powiesić 10 osób naraz?

Długa szubienica stanęła tam, gdzie była restauracja Zacisze, a dziś jest Biedronka – dokładnie w miejscu, gdzie jest tylna ściana sklepu. 19 marca 1942 r. Niemcy zwołali wszystkich mieszkańców. Musieli patrzeć, jak 10 wybranych Żydów wiesza kolejnych 10 wybranych Żydów. Zapamiętano, że Haragiel Hamalchut głośno odmawiał modlitwę Szma Izrael. Z daleka wyglądało to tak, jakby ci, którzy mieli być powieszeni, pocieszali tych, którzy mieli ich wieszać. W południe na plac przyjechali Niemcy z Bełchatowa, skazanym założono pętle. Krzyknęli po hebrajsku „Bóg z nami”.

„Ciała skazanych nie zawisły jednak. Żydzi, którzy mieli wieszać, za słabo pociągnęli za sznury mające wyrwać pomost spod nóg ofiar. Każdy z nich chciał przecież jak najmniej przyczynić się do śmierci. Dopiero za drugim pociągnięciem egzekucja została wykonana. (...) Hitlerowcy udali się potem spokojnie na bankiet" – pisze Edward Martuszewski w książce „49 listów z powodu Braci Czeskich".

Nie wiadomo, z jakiego konkretnie powodu Niemcy zorganizowali tę egzekucję.

Na skwerze tuż za sklepem jest dziś pomnik, upamiętnia ofiary katastrofy smoleńskiej.

Pamięci mieszkańców

W Zelowie nie ma pomnika czy tablicy upamiętniających życie i śmierć żydowskich mieszkańców. W przestrzeni publicznej w tej sprawie panuje cisza.

Tablica umieszczona na ścianie poczty mówi ogólnie o ofiarach wojny: „Pamięci mieszkańców Zelowa i okolicznych wsi – ofiar dwóch totalitarnych systemów, poległych na polach bitew, wywiezionych, pomordowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych i sowieckich łagrach. Mieszkańcy Gminy Zelów". Próżno by szukać informacji, że budynek poczty to dawna synagoga.

Z pamiętnika Mordka Breitbarta: „Czym żeście pomogli bezbronnemu narodowi? Co uczyniliście, kiedy Naród Żydowski konał w tak okropnych mękach rozbestwionych tyranów hitlerowskich? Gdzie człowieczeństwo XX wieku? Gdzie kultura? Gdzie sprawiedliwość?

Wypadłem z pamięci jako zmarły". ©

Korzystałam z książek: Sławoj Kopka „Wszyscy się nas boją" (Zelów 2012), Morris Breitbart „Awaiting a Miracle" (Denver 2007) i Edward Martuszewski „49 listów z powodu Braci Czeskich" (Łódź 1971).

JUSTYNA POBIEDZIŃSKA jest absolwentką wrocławskiego Instytutu Historii Sztuki, reporterką i scenarzystką.

TOMASZ KIZNY jest fotografem, wieloletnim współpracownikiem „Magazynu Gazety Wyborczej", autorem albumów „Gułag" i „Wielki Terror". W PRL założyciel Niezależnej Agencji Fotograficznej „Dementi" działającej poza zasięgiem komunistycznej cenzury w latach 1982-89.

Autorzy dziękują Sławojowi Kopce za pomoc w przygotowaniu materiału.

Dom Kultury w Zelowie



ul. Tadeusza Kościuszki 74, tel. 44 634 10 98

»Zelów na starej fotografii«

Świadomość narodowa, czyli świadomość przynależności do wspólnoty, jest podstawą narodu. Budzi się ona w zależności od sytuacji, na którą mogą mieć wpływ następujące czynniki: język, historia i tradycja. Naród, który nie zna swojej historii jest narodem martwym. Mówiąc o narodzie, należy wymienić przede wszystkim język. Jest to umowny zasób wyrazów, zwrotów używanych w celu porozumiewania się. Używany przez członków jednego narodu staje się językiem narodowym. Jest tu jednak pewna zależność: język narodowy nie może istnieć bez narodu, jednak naród może istnieć bez języka narodowego. Takie zależności istniały w Zelowie w przeszłości i istnieją także dzisiaj. Daje to nam mieszkańcom poczucie unikatowej odrębności na skalę kraju.

Zdjęcia zgromadzone na tej wystawie to historia życia naszych rodziców, naszych dziadków, pradziadków, to historia kultur i tradycji Zelowa i okolic. To wielkie bogactwo, duchowe i kulturowe dziedzictwo, które winniśmy zachować i pielęgnować, z niego czerpać wartości i przekazywać je nie tylko dzieciom we własnej rodzinie, lecz również w środowisku, w którym przyszło nam mieszkać i żyć.

Mamy świadomość, że jest to zaledwie wycinek tego, czym dysponujemy i czym dysponują w swoich domach mieszkańcy Zelowa. Wierzymy, że ta wystawa stanie się początkiem tworzenia pamięci o naszej małej Ojczyźnie, a w niedalekiej przyszłości zaowocuje utworzeniem Izby Pamięci naszego miasta.

Andrzej Dębkowski

Za udostępnienie materiałów i fotografii bardzo serdecznie dziękujemy Państwu:

- Danucie Berlińskiej,
- Janinie Błęckiej,
- Włodzimierzowi Brzezińskiemu,
- Jerzemu Dzierdziejewskiemu,
- Barbarze Łuczyńskiej,
- Andrzejowi Gramszowi,
- Stanisławowi Mądrzyckiemu,
- Mikołajowi Pejdze,
- Aleksandrze Pogorzelec,
- Jerzemu Samborskiemu,
- Agnieszce Smetanie,
- Eugeniuszowi Smolnemu,
- Marii Tarnowskiej,
- Maciejowi Wilfowi,
- rodzinie Pani Jadwigi Żaki,
- parafii ewangelicko-reformowanej w Zelowie,
- parafii rzymskokatolickiej w Zelowie,
- pracownikom Biblioteki Miejskiej w Zelowie,
- pracownikom referatu promocji i informacji Urzędu Miejskiego w Zelowie.

Szczególne podziękowania składamy Panu Włodzimierzowi Łuczyńskiemu za niezwykle cenne uwagi i sugestie.

Dziękujemy
Dyrektor i pracownicy Domu Kultury



Rynek w Zelowie (początek XX wieku)



Wiec 3 Maja na Rynku w Zelowie (lata 20. XX wieku)



Rynek w Zelowie (okres międzywojenny)



Wiec ku czci Józefa Piłsudskiego w Rynku w Zelowie (okres międzywojenny)



Pomnik T. Kościuszki (okres międzywojenny)



Odsłonięcie pomnika T. Kościuszki (1 maja 1968)



Ćwiczenia strażackie (okres międzywojenny)



Elektrownia parowa przy ulicy Poznańskiej w Zelowie
(okres międzywojenny)



Budowa kościoła katolickiego w Zelowie
(rok 1933)



Pracownicy fabryki Żyda Kopla (okres międzywojenny)



Dzwony do kościoła katolickiego w Zelowie (1936)



Wypoczynek na tzw. "Trytwie" w Maurycowie



Dzowny do kościoła
ewangelicko-reformowanego w Zelowie



Pierwsza drużyna ZKS Zelów (10.05.1925).
W środku pierwszy prezes i trener - Przeździecki



Otwarcie siedmioklasowej Szkoły Powszechnej w Zelowie
- 1.09.1937



Chór mieszany w Karczmach (okres międzywojenny)



Drużyna ZKS Zelów jedzie na mecz do Wielunia
(okres międzywojenny)



Żołnierze niemieccy w Zelowie
(okres II wojny światowej)



Pogrzeb niemieckiego żołnierza
(prawdopodobnie 1941 rok)



Szkoła żydowska w Zelowie (okres międzywojenny)



Zelowscy Żydzi (okres międzywojenny)



Zelowscy Niemcy
(okres II wojny światowej)



Dr Włodzimierz Łuczyński-senior przy swoim Polskim Fiacie 508 (okres międzywojenny)



Dr Włodzimierz Łuczyński-junior w swoim pierwszym samochodzie (okres wojenny)



Zelowska drużyna kolarska (rok 1928)



Zarząd Ludowej Spółdzielni Spożywców w Zelowie



Narcyza Irmina Stepnicka-Łuczyńska
przed apteką
(róg Sienkiewicza i Wolności)



Pierwsze strzelanie z kb organizacji "Strzelec" w Bujnach Szlach.



Otwarcie Ośrodka Zdrowa w Zelowie (1946)



Spółdzielnia Pracy "Zelowianka" (lata 70. XX wieku)



Prcaownicy cegielni w Zelowie (lata 70. XX wieku)



Pracownicy PKS Zelów
na pochodzie 1-majowym (lata 80. XX wieku)



Vaclav Havel z małżonką
składa kwiaty pod tablicą upamiętniającą
przybycie osadników czeskich do Zelowa (11.03.1998)



Restauracja "Zacisze" w Zelowie (lata 70. XX wieku)



Rynek w Zelowie (lata 60. XX wieku)



Kondukt pogrzebowy w Zelowie (roku 1984)



Budynek LO w Zelowie (lata 80. XX wieku)

Dorota Siepracka

Mordercy Żydów przed nazistowskim Sądem Specjalnym

Późną jesienią 1943 r. funkcjonariusz policji niemieckiej z Zelowa otrzymał anonimowy donos o skrytobójczym wymordowaniu rodziny żydowskiej przez polskich chłopów: „[...] przybyliśmy przed akcją wysiedleńczą do Lipińskich[1] do wsi Firlej, gmina Kluki, i byliśmy ukrywani pod sianem. Przygotowano [nam] kryjówkę, w której pozostawaliśmy u L[ipińskich] do 19 lipca 1943 r. Kiedy jednak Lipińscy wymówili nam udzielenia schronienia, zaczęli nas mordować. Miało to miejsce 19 lipca 1943 [r.], wówczas [Elżbieta] Lipińska wieczorem przyszła z jedzeniem i powiedziała, że [jej] córka Marysia przyniosła dobre wiadomości z Zelowa. Zawołali nas do mieszkania i tam zamordowali Herszlika Brajtbarta, technika dentystycznego, z jego żoną Helą Brajtbart i dzieckiem [...] oraz Mordkę Brajtbarta [...]. Jako dowód podaję szczegół, że zamordowane dziecko zostało [...] zakopane między ścianą szczytową stodoły a ubikacją na wysokości siódmej belki"[2].

W toku dochodzenia okazało się, że autorem donosu był ojciec dwóch zabitych Żydów, Moszek Brajtbart. Jego denuncjacja zapoczątkowała śledztwo w tej sprawie, a następnie proces sądowy przed niemieckim Sądem Specjalnym w Łodzi (Sondergericht in Litzmannstadt), który zakończył się 2 maja 1944 r. wyrokiem skazującym dwoje Polaków na karę śmierci oraz jednego na dwa lata więzienia karnego za bestialskie zamordowanie czterech osób pochodzenia żydowskiego.

Lipińscy znali Brajtbartów jeszcze sprzed wojny[3]. Łączyły ich raczej luźne kontakty o charakterze handlowo-usługowym aniżeli towarzyskie. Żydzi zaopatrywali się w gospodarstwie rolnym Lipińskich we wsi Firlej w torf, ci zaś byli stałymi klientami Herszlika Brajtbarta, technika dentystycznego z zawodu, oraz jego brata Mordki Brajtbarta – szewca. Po wybuchu wojny kontakty obu rodzin nie urwały się. Nawet w czasie gdy Brajtbartowie dostali się do getta w Zelowie[4],

---

[1] Zgodnie z polskimi przepisami o ochronie danych osobowych personalia skazanych za zabójstwo Polaków zostały zmienione.

[2] AP Łódź, Sondergericht in Litzmannstadt [dalej: SgŁd], 2752, Odpis treści anonimowego donosu, k. 30.

[3] AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Elżbiety Lipińskiej, 28 X 1943 r., k. 39–41.

[4] Getto w Zelowie powstało w 1941 r. Było to tzw. getto otwarte – nie zostało odgrodzone od reszty miasta, ale obowiązywał bezwzględny zakaz przekraczania jego granic. Pod koniec 1941 r. znajdowało się w nim około 6 tys. Żydów, z których część pochodziła z pobliskich miejscowości. Likwidacja getta w Zelowie nastąpiła w sierpniu 1942 r. Zelów znajdował się na obszarze ziem wcielonych do Rzeszy (S. Papuga, A. Gramsz, *Zelów. Wspólnota nacji, wyznań i kultur*, Łódź 2003, s. 222–225; A. Kardas, *Getta w powiecie łaskim* [w:] *Referaty i komunikaty przygotowane na sesję naukową w 45 rocznicę zagłady skupisk żydowskich w Kraju Warty. Zduńska Wola, 23 X 1987 r.*, mps, s. 12).

Elżbieta Lipińska nadal bywała ich częstym gościem, prowadząc z nimi handel wymienny, głównie żywnością.

Przy okazji jednej z wizyt latem 1942 r. Herszlik Brajtbart, pod wpływem docierających do Zelowa niepokojących informacji o tragicznych losach ludności żydowskiej masowo deportowanej na skutek likwidacji gett w Kraju Warty, zwrócił się do Elżbiety Lipińskiej z prośbą o ukrycie za opłatą siebie i swojej najbliższej rodziny w jej gospodarstwie w Firleju. Pomimo związanego z tym niebezpieczeństwa Polka zgodziła się udzielić schronienia żydowskim znajomym w przypadku ich bezpośredniego zagrożenia. Przed wysiedleniami z getta zelowskiego zorganizowała z synem Romanem transport rzeczy osobistych Brajtbartów i ich ucieczkę z getta do kryjówki po „stronie aryjskiej". Wraz z Herszlikiem Brajtbartem getto opuścili wszyscy jego najbliżsi: żona Hela, brat Mordka, ojciec Moszek oraz bratanek tego ostatniego, również Mordka. Przy przeprowadzce pojawiły się jednak pierwsze problemy. Pamiętając o umowie zawartej w Zelowie, Polacy przygotowali kryjówkę w stodole pod sianem jedynie dla najbliższej, czteroosobowej rodziny Herszlika Brajtbarta i kategorycznie odmówili schronienia towarzyszącemu im bratankowi ojca, tłumacząc, iż nie ma dla niego miejsca. Wobec zdecydowanej postawy rodziny Lipińskich Mordka Brajtbart obiecał w końcu, że opuści Firlej i uda się w rodzinne strony, w okolice Strzyżewic, gdzie poszuka dla siebie schronienia. Nie dotrzymał jednak słowa i w rzeczywistości zamieszkał razem z resztą rodziny w gospodarstwie w Firleju, ukrywając się przed Lipińskimi.

W tym miejscu należy zaznaczyć, iż mąż Elżbiety, Kazimierz, najprawdopodobniej nic nie wiedział o pobycie Żydów, gdyż rodzina zataiła przed nim ten fakt. Nie było to trudne, ponieważ był on już sędziwym i schorowanym człowiekiem, który prawie nie opuszczał swojego pokoju, nie interesując się zbytnio tym, co dzieje się w gospodarstwie. Posiłki dla Żydów dostarczali do stodoły na zmianę Elżbieta i jej dzieci, Roman i Maria, oraz pracujący u nich dorywczo w gospodarstwie kuzyn Zdzisław. Brajtbartowie przychodzili również czasami wieczorami w tajemnicy przed Kazimierzem Lipińskim do mieszkania na posiłki.

Jak wynika z akt sprawy, Polacy nie utrzymywali Brajtbartów bezinteresownie. Wiele wskazuje na to, że godząc się na ukrywanie Żydów, byli nastawieni głównie na czerpanie korzyści materialnych. Od początku ich pobytu żądali regularnej i stale rosnącej zapłaty za wikt, m.in. w obcych walutach, kosztownościach lub rzeczach osobistych[5]. Na przykład początkowo Brajtbartowie za ćwierć kilograma masła musieli płacić 10 RM, potem żądano od nich 15 RM, cena zaś za tytoń wzrosła z 5 do 8 RM, itd.[6] Nic więc dziwnego, że przy tak mer-

[5] Jak wynika z wykazu rzeczy skonfiskowanych w wyniku inspekcji policji w gospodarstwie Lipińskich, Polacy otrzymali od Brajtbartów co najmniej następujące kosztowności: jeden zegarek męski marki Moser, jedną obrączkę brylantową, jeden damski złoty zegarek wysadzany trzema kamieniami, złoty łańcuszek (2 metry długości), cztery banknoty po 5 dolarów (AP Łódź, SgŁd, 2752, Sprawozdanie końcowe policji z dochodzenia w sprawie zabójstwa, 4 II 1944 r., k. 44). Z zeznań Moszka Brajtbarta wynika natomiast, że Brajtbartowie przekazali Lipińskim następujące rzeczy: dwa męskie płaszcze, dwa damskie płaszcze, dwa ubrania damskie, dwie pary butów, jeden kołnierz futrzany, jedną parę butów damskich, 80 dolarów, trzy obrączki z brylantami, dwa złote zegarki damskie, jedną obrączkę platynową z dwoma brylantami, jeden długi złoty łańcuszek, dwa funty brytyjskie, około 1000 RM (AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Moszka Brajtbarta, 18 III 1944 r., k. 140–143).

[6] *Ibidem*, k. 142.

kantylnej postawie Lipińskich ich nastawienie do Brajtbartów zmieniło się diametralnie od chwili, gdy tym ostatnim zabrakło środków na pokrycie wygórowanych roszczeń „opiekunów". Odtąd sytuacja Brajtbartów systematycznie się pogarszała. Początkowo Polacy, nie wierząc, że Żydom skończyły się już oszczędności, starali się wymusić dalsze należności przez wstrzymanie dostaw żywności. Kiedy okazało się, że ukrywani naprawdę nic już nie mają, Lipińscy zaczęli traktować Żydów jak intruzów, których za wszelką cenę należało się pozbyć. Pierwszą ofiarą takiej postawy gospodarzy padło nowo narodzone dziecko Brajtbartów, które przyszło na świat 10 stycznia 1943 r. Podczas prowadzonego później przez policję niemiecką przesłuchania Moszek Brajtbart tak opisał podstępne zamordowanie swojego wnuka[7]: „W chlewie moja synowa pozostawała około 10 dni. Potem wróciła wraz z dzieckiem z powrotem do stodoły. Od czasu do czasu wieczorami synowa chodziła do domu rodziny Lipińskich umyć dziecko. Po dwóch czy dwóch i pół miesiącach, kiedy moja synowa była z dzieckiem w mieszkaniu, pani [Elżbieta] Lipińska wyraziła pogląd, że dziecko może zostać. Miało być karmione butelką. Moja synowa zostawiła tam dziecko. Kiedy robiłem jej wyrzuty [z tego powodu], poszła następnego wieczora do mieszkania i poprosiła o jego oddanie. Pani Lipińska odmówiła, twierdząc, że jest ono takie śliczne i grzeczne, że może zostać spokojnie [w domu]. Następnego popołudnia pani Lipińska przyszła do nas do kryjówki i powiedziała: »Dziecko nie żyje«. Kiedy moja synowa zaczęła płakać, powiedziała: »Uspokój się, już po wszystkim«. Kiedy ojciec dziecka, mój syn Herszlik, spytał, co mu dolegało, Lipińska odpowiedziała: »Dziecko miało konwulsje«. [...] W nocy, około godziny 11.00, Lipińska przyszła do stodoły i zawołała nas na zewnątrz. W starym, białym ręczniku miała dziecko [...]. Wieczorem za chlewem, przed ubikacją wykopałem dół [...] i złożyłem dziecko do grobu"[8].

Wkrótce Polacy postanowili pozbyć się również pozostałych Żydów. Początkowo liczyli na to, że wystarczą prośby o poszukanie innego schronienia i Brajtbartowie w końcu sobie pójdą. Nie było to jednak takie proste, gdyż Żydzi świetnie zdawali sobie sprawę, że po wyczerpaniu się pieniędzy ich sytuacja stała się beznadziejna, a szukanie nowego schronienia wiązało się ze zbyt wielkim ryzykiem. Świadoma tego musiała być również Lipińska, lecz pomimo to w dalszym ciągu bezskutecznie usiłowała wymóc na Mordce Brajtbarcie dobrowolne opuszczenie gospodarstwa. W tej sytuacji ojciec Mordki, Mosze Brajtbart, aby nie zadrażniać i tak już napiętych stosunków, postanowił sfingować własne odejście. Poprosił Lipińskich o wyprowadzenie go na drogę do rodzinnej miejscowości, jednak tuż po pożegnaniu się z towarzyszącym mu Romanem chyłkiem podążył z powrotem jego śladem, z zamiarem ukrycia się u swych najbliższych wzorem bratanka. Kiedy cała sprawa się wydała, Mosze wymyślił naprędce historię, że przyszedł się pożegnać z dziećmi, ponieważ wyrusza w daleką drogę w poszukiwaniu pracy, obiecując przy tym

---

[7] Inną wersję zabójstwa niemowlęcia podała Elżbieta Lipińska, która podczas przesłuchania na policji twierdziła, że zostało ono tuż po narodzinach zamordowane i pochowane przez ojca Herszlika Brajtbarta. Z tych i innych zeznań wyraźnie wynika, że Elżbieta usilnie próbowała „podzielić" się winą z osobami spoza rodziny Lipińskich. Nie przewidziała jednak, że Moszek Brajtbart złoży doniesienie na posterunku policji o popełnionej zbrodni, a później również obszerne zeznania w tej sprawie.

[8] AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Moszka Brajtbarta, 18 III 1944 r., k. 142–143.

również, że jak tylko ją zdobędzie, ściągnie do siebie całą rodzinę. Po tej deklaracji ponownie został wyprowadzony na drogę przez Romana i powtórnie po kryjomu za nim wrócił. Odtąd przebywał w pobliżu gospodarstwa Lipińskich i tylko w nocy wślizgiwał się do stodoły, gdzie nocował ze swoimi bliskimi.

Podobne „wpadki" miał również bratanek Moszego – Mordka, który został zauważony w okolicy stodoły przez Romana. Tłumaczył się wówczas, że przyszedł jedynie odwiedzić rodzinę. Roman odprowadzał go, tak jak jego stryja, do drogi prowadzącej w ich rodzinne strony, ale on również zawsze wracał w tajemnicy przed Lipińskimi. Tak więc Polacy nie byli pewni, czy w ich gospodarstwie zamieszkuje pięcioro, czy troje Żydów. Dodatkowe zaniepokojenie Lipińskich wzbudzał fakt, iż sytuacja wymknęła im się spod kontroli, a swobodne poruszanie się Brajtbartów po okolicy i ciągłe odwiedziny u reszty rodziny w stodole w każdej chwili mogły sprowadzić na wszystkich nieszczęście. W tej sytuacji zdesperowani Lipińscy postanowili ostatecznie rozprawić się z niewypłacalnymi „intruzami".

19 lipca 1943 r. około godziny 22 doszło do skrytobójczego mordu na ukrywających się członkach rodziny Brajtbartów, Herszliku, jego żonie Heli oraz Mordce. Elżbieta Lipińska w trakcie przesłuchania na posterunku policji niemieckiej następująco zrelacjonowała przebieg wydarzeń: „Zamordowania tychże [Żydów] dokonaliśmy [we dwójkę,] mój syn i ja. Poszłam do stodoły i poprosiłam Żydów, ażeby przyszli pomóc mojemu synowi Romanowi [w noszeniu wody], ponieważ skaleczył się w rękę. Wówczas przyszedł najpierw Żyd [Mordka Brajtbart, z zawodu] szewc do stajni i tam został ogłuszony i powieszony przez Romana. Poszłam wtedy do stodoły i powiedziałam, że jeszcze jeden musi przyjść pomóc. Przyszedł następnie żydowski technik dentystyczny [Herszlik Brajtbart] do stajni i tam również został uderzony i powieszony przez mojego syna Romana. Potem zwabiłam Żydówkę [Helę Brajtbart] ze stodoły, którą [to kobietę] także uderzył Roman. Zaciągnęłam jej pętlę na szyi. Potem Roman i ja wywlekliśmy Żydów na pole i tam pogrzebaliśmy. [...] Moja córka Marysia stała podczas mordowania Żydów na czatach. Plan zamordowania Żydów pochodził ode mnie i został zaakceptowany przez mojego syna Romana"[9].

[9] AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Elżbiety Lipińskiej, 8 XI 1943 r., k. 39–41. Podczas pierwszego przesłuchania 28 X 1943 r. Elżbieta Lipińska podała inną wersję przebiegu zabójstwa Żydów. Twierdziła mianowicie, że oprócz jej bliskich w zbrodni uczestniczyć miał także sąsiad Józef Stanisławski, który rzekomo przypadkiem odkrył Brajtbartów w gospodarstwie i nakłaniał do zabicia Żydów. Elżbieta i Roman Lipińscy próbowali przekonywać również, że uczynili to pod presją i ze strachu przed Stanisławskim. Wersja ta była dla Lipińskiej wygodna, gdyż, z perspektywy okupacyjnego aparatu represji, sąsiada obciążało zabicie 1 IX 1943 r. niemieckiego żandarma z posterunku w Klukach, a postrzelony Stanisławski zmarł następnego dnia w wyniku ciężkich obrażeń. Lipińscy wykorzystali więc sytuację, że oskarżany przez nich Stanisławski nie mógł się bronić, i obciążyli go w swoich zeznaniach inspiracją do popełnienia zbrodni oraz współudziałem w zabójstwie. Ten wariant wydarzeń był również korzystny dla nazistowskiego wymiaru „sprawiedliwości", który z zasady wybierał wersje zeznań najmocniej obciążające Polaków. Nie dziwi więc fakt, iż Sąd Specjalny zignorował niekonsekwencje w tych zeznaniach Elżbiety i Romana, które uwzględniały udział Stanisławskiego w mordzie. Za zaprezentowaną tu wersją wydarzeń przemawiają liczne sprzeczności w zeznaniach oskarżonych, np. Elżbieta Lipińska na przesłuchaniu 28 X 1943 r. twierdziła, że Hela Brajtbart została ogłuszona przez Stanisławskiego, Roman Lipiński w zeznaniach z 3 III 1943 r. utrzymywał zaś, że to on osobiście ją uderzył (AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Elżbiety Lipińskiej, 28 X 1943 r., k. 39–41; AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Romana Lipińskiego, 3 III 1943 r., k. 51–52).

Lipińscy nie wiedzieli, że dwóch członków rodziny Brajtbartów, którzy mieszkali potajemnie w ich stodole, domyślało się przebiegu tragicznych wydarzeń[10]. Choć przebywali oni w momencie morderstwa poza kryjówką, byli jednak na tyle blisko, by nabrać słusznych podejrzeń, że coś się wydarzyło. Zaniepokoiły ich docierające do nich odgłosy uderzeń oraz rozsypywanie przez Elżbietę słomy wokół stodoły w celu zatarcia śladów. Złe przeczucia potwierdziły się, gdy wrócili do kryjówki i nie zastali swoich bliskich ani ich rzeczy. Aby wyjaśnić tę sprawę, udali się o świcie do mieszkania Lipińskich, co Moszek Brajtbart zrelacjonował potem następująco: „Zapukałem do okna. Przyszła do okna Marysia [...], za nią pani [Elżbieta] Lipińska i Roman. Kiedy zacząłem krzyczeć, gdzie są moje dzieci, co im zrobiliście, ci odpowiedzieli, że dzieci wyszły od nich trzy tygodnie temu. Wówczas powiedziałem: »To jest kłamstwo, ponieważ jeszcze kilka godzin temu byłem z nimi w kryjówce. Jeśli je zabiliście, powiedzcie mi [...]«. Wtedy Marysia zwróciła się do swojej matki: »No powiedz im«. Kiedy ta milczała, powiedziałem: »Idę na policję«. Marysia chwyciła mnie za ubranie, a ja zacząłem krzyczeć. Marysia powiedziała: »Chciałabym ci powiedzieć, że twoje dzieci są już w niebie. Chcesz iść na policję i przyczynić się do śmierci ośmiu osób?«. Odpowiedziałem: »Nie wiem«"[11].

Obaj Brajtbartowie świadomi byli swojej bezsilności. Pomimo ewidentnej, bestialskiej zbrodni, która domagała się ukarania, musieli wybierać między dążeniem do zadośćuczynienia sprawiedliwości, co mogło zakończyć się dekonspiracją oznaczającą dla nich zgubę, a rezygnacją z ukarania zbrodniarzy. W tej sytuacji początkowo zwyciężył instynkt samozachowawczy. Brajtbartowie zwrócili się więc do Lipińskich, by oddali im część ukrytych przez Marię rzeczy należących do ich bliskich, i zdecydowali się odejść do lasu. Potem wrócili do gospodarstwa, gdzie Elżbieta poczęstowała ich kawą, chlebem i zupą, siląc się nawet na słowa „pocieszenia": „[Twierdziła, że] powinniśmy być spokojni, gdyż już jest po wszystkim, oni już nie żyją. Ona [deklarowała, że] będzie nas wspomagać. Przyniosła z domu jeszcze 300 RM, których jednak nie wziąłem. Zaoferowała nam, żebyśmy codziennie wieczorem przychodzili ukryć się w stodole. Odmówiłem, ponieważ bałem się. W rzeczywistości jednak wiele wieczorów spędzaliśmy w przybudówce stodoły"[12]. Brajtbartowie nie mieli jednak złudzeń co do prawdziwych intencji gospodyni, skoro pod koniec sierpnia 1943 r. postanowili ostatecznie oddalić się od gospodarstwa w Firleju, gdyż przypominało im ono o tragicznych losach najbliższych. Zdawali sobie bowiem sprawę, że są niewygodnymi świadkami wydarzeń, które sprawcy woleliby za wszelką cenę utrzymać w tajemnicy. Brajtbartowie, wiedząc, do czego zdolni są ich „opiekunowie", bali się u nich pozostać. Nie chcieli narażać się na ryzyko podzielenia losu swoich bliskich. Udali się więc w okolice Strzyżewic, gdzie przez kilka tygodni skutecznie ukrywali się w stodołach. Dopiero wówczas zaczęli wysyłać za pośrednictwem Polaków donosy na policję, dokładnie przedstawiając okoliczności mordu. To właśnie te listy zapoczątkowały wszczęcie śledztwa w tej sprawie[13]. Dzięki szczegółowym informacjom

[10] AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Elżbiety Lipińskiej, 24 III 1944 r., k. 147.
[11] AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Moszka Brajtbarta, 18 III 1944 r., k. 144.
[12] *Ibidem*.
[13] AP Łódź, SgŁd, 2752, Sprawozdanie końcowe policji z dochodzenia w sprawie zabójstwa, 4 II 1944 r., k. 44; AP Łódź, SgŁd, 2752, Odpis treści anonimowego donosu, k. 30.

policja 25 i 26 października dokonała wstępnej rewizji w gospodarstwie Lipińskich i odnalazła zwłoki niemowlęcia oraz uzyskane od Żydów kosztowności, ukryte przez Elżbietę w zakopanych butelkach[14]. Szczątki pozostałych zamordowanych odkryto w później.

26 października 1943 r. aresztowano wraz z Elżbietą jej najbliższych: synów Romana i Mieczysława oraz męża Kazimierza, tylko córce Marii udało się zbiec[15]. Dalsze szczegóły morderstwa ujawnił Moszek Brajtbart, zatrzymany 14 marca 1944 r. przez posterunkowego w drodze do Zelowa[16]. Moszek w obszernych zeznaniach rzucił inne światło na przedstawiane przez Elżbietę wersje tragicznych wydarzeń, w których za wszelką cenę starała się umniejszyć rolę swojej rodziny w zabójstwie Brajtbartów, oskarżając o inspirację i udział w nim osoby postronne. Dzięki temu możliwe jest dziś zweryfikowanie kilkakrotnie zmienianych zeznań Elżbiety, co pozwala na dokładniejsze odtworzenie przebiegu wydarzeń. W ogłoszonym 17 kwietnia 1944 r. akcie oskarżenia zarzucano Elżbiecie, Romanowi i Kazimierzowi Lipińskim[17] udzielenie schronienia Żydom oraz popełnienie bestialskiego morderstwa z niskich pobudek na trzech osobach[18]. Wyrok Sądu Specjalnego zapadł 2 maja 1944 r.[19] Elżbieta i Roman Lipińscy zostali skazani na podstawie artykułu I punkt 3 Specjalnego Prawa Karnego dla Polaków i Żydów[20] za działanie na szkodę narodu niemieckiego przez udzielenie schronienia Żydom i złamanie w ten sposób rozporządzenia dotyczącego nakazu przebywania ludności żydowskiej w „dzielnicach zamkniętych" oraz na podstawie paragrafów 211, 47 niemieckiego kodeksu karnego (*Strafgesetzbuch für das Deutsche Reich*)[21] za wspólne popełnienie morderstwa na karę śmierci. W przy-

[14] AP Łódź, SgŁd, 2752, Sprawozdanie końcowe policji z dochodzenia w sprawie zabójstwa, 4 II 1944 r., k. 44; AP Łódź, SgŁd, 2752, Notatka służbowa policji, 27 X 1943 r., k. 30.

[15] Podczas rewizji przebywała w pomieszczeniach gospodarczych, skąd uciekła i do końca wojny nie została odnaleziona przez policję niemiecką. Sprawa współudziału Marii Lipińskiej w morderstwie została natomiast podjęta przez Prokuraturę Wojewódzką w Łodzi 21 IV 1958 r. Sprawę umorzono 4 VI 1958 r., gdyż w świetle akt Sądu Specjalnego, z którymi zapoznała się prokuratura, nie brała ona bezpośredniego udziału w zbrodni. Akta Prokuratury Wojewódzkiej nie zachowały się. Istnieje jedynie zapis w repertorium o prowadzonym dochodzeniu pod sygnaturą II. Ds. 59/58 (AP Łódź, SgŁd, 2752, Pismo Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi o powołanie biegłego tłumacza przysięgłego, 8 V 1958 r., k. 19; Archiwum Prokuratury Okręgowej w Łodzi, Zapis w repertorium dotyczący Marii Lipińskiej).

[16] Mordka Brajtbart, który mu towarzyszył, zdołał uciec (AP Łódź, SgŁd, 2752, Protokół przesłuchania Moszka Brajtbarta, 20 III 1944 r., k. 145).

[17] Mieczysław Lipiński nie mieszkał w domu rodziców, a w dniu aresztowania był u nich w odwiedzinach. W toku śledztwa został oczyszczony z zarzutu popełnienia zbrodni. Z aresztu policyjnego zwolniono go 19 IV 1944 r.

[18] AP Łódź, SgŁd, 2752, Akt oskarżenia przeciwko Elżbiecie, Romanowi i Kazimierzowi Lipińskim, 17 IV 1944 r., k. 60.

[19] AP Łódź, SgŁd, 2752, Sentencja wyroku, 2 V 1944 r., k. 72–75.

[20] *Verordnung über die Strafrechtspflege gegen Polen und Juden in den eingegliederten Ostgebieten vom 4. Dezember 1941*, „Reichsgesetzblatt" 1941, I, s. 759. Polskie tłumaczenie dokumentu zostało opublikowane w aneksie do artykułu J. Waszczyńskiego, *Z działalności hitlerowskiego Sądu Specjalnego w Łodzi (1939–1945)*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce" 1972, t. 24, s. 102.

[21] Paragraf 211 *Strafgesetzbuch für das Deutsche Reich* z 15 V 1871 r., Abschnitt Verbrechen und Vergehen wider das Leben [w:] *Strafrecht und Strafverfahren. Eine Sammlung der wichtigsten Gesetze des Strafrechts und des Strafverfahrens mit Erläuterungen*, Berlin–München 1941, s. 48–49,

padku Kazimierza Lipińskiego uwzględniono okoliczności łagodzące, a więc fakt, iż nie miał wpływu na to, co dzieje w gospodarstwie, oraz zaawansowany wiek oskarżonego, liczącego wówczas 76 lat. Wymierzono mu w związku z tym karę dwóch lat pozbawienia wolności w obozie karnym[22].

Po ogłoszeniu wyroku Elżbieta Lipińska wycofała się ze wszystkich swoich dotychczasowych zeznań i 6 maja 1944 r. złożyła wniosek o zamianę kary śmierci na karę pozbawienia wolności, uzasadniając go następująco: „Nie byłam przy zabójstwie, słyszałam tylko, że Żydzi byli bici, i potem uciekłam"[23]. Namiestnik Kraju Warty i jednocześnie prokurator generalny Arthur Greiser nie skorzystał z prawa łaski[24]. 22 maja 1944 r. wyrok został wykonany przez powieszenie[25].

Opisana tu sprawa sądowa rodziny Lipińskich o skrytobójcze wymordowanie ukrywających się u nich Żydów rzuca nowe światło na działanie nazistowskiego wymiaru „sprawiedliwości" oraz na stosunki polsko-żydowskie w czasie II wojny światowej. Przede wszystkim dziwić może fakt postawienia przed Sądem Specjalnym i skazania na karę śmierci Polaków, czyli „aryjczyków", za mord na Żydach, oficjalnie przecież wyjętych spod nazistowskiego prawa[26], którzy w świetle ideologii państwowej byli tylko przeznaczonymi na zagładę „podludźmi". Jak więc Sąd Specjalny w Łodzi uzasadnił fakt skazania na najwyższy wymiar kary Lipińskich oraz co spowodowało, iż zaangażowano tak wiele środków i ludzi do dochodzenia praw nieżyjących już Żydów?

Pierwsza część uzasadnienia wyroku zasadniczo nie odbiega od retoryki powszechnie stosowanej przez nazistowski wymiar „sprawiedliwości" na terenach okupowanej Polski: „Według ustaleń [sądu] oskarżeni, jako Polacy na wschodnich terenach przyłączonych do Rzeszy, nie zastosowali się do niemieckich praw i wydanych specjalnie dla nich rozporządzeń niemieckich instytucji państwowych. Wiedzieli oni o tym, że Żydzi zostali odizolowani w zamkniętych dzielnicach mieszkaniowych i nie wolno im było przebywać w innych miejscach Kraju Warty. Pomimo tego wszyscy troje oskarżeni złamali to rozporządzenie i udzielili

brzmi: „Kto celowo zabija człowieka, jeśli czyn ten popełnił świadomie, musi zostać ukarany z powodu morderstwa"; paragraf 47 *Strafgesetzbuch für das Deutsche Reich* z 15 V 1871 r., Abschnitt Teilnahme [w:] *Strafrecht und Strafverfahren…*, s. 206, brzmi: „Jeżeli kilku popełnia przestępstwo wspólnie, każdy podlega karze jako sprawca.

22 Kazimierz Lipiński przebywał w więzieniu karnym w Sieradzu. W związku z zaawansowanym wiekiem i licznymi schorzeniami administracja więzienia zwróciła się z zapytaniem do prokuratora generalnego Kraju Warty w sprawie możliwości skrócenia wymiaru kary. W odpowiedzi podkreślono, że wariant ten nie wchodzi w rachubę, a Kazimierz Lipiński ma pozostać w więzieniu w Sieradzu i odbyć pełny wymiar kary. Przeżył i po wojnie powrócił do rodzinnej miejscowości (AP Łódź, SgŁd, 2572, Pismo prokuratora generalnego Kraju Warty do Prokuratury w Łodzi, 1 VIII 1944 r., k. 96; Relacje mieszkańców miejscowości Firlej (w zbiorach autorki).

23 AP Łódź, SgŁd, 2752, Pismo Prokuratury w Łodzi do prokuratora generalnego Kraju Warty w sprawie wniosku Elżbiety Lipińskiej o złagodzenie wymiaru kary, 8 V 1944 r., k. 91.

24 AP Łódź, SgŁd, 2752, Odpis pisma prokuratora generalnego Kraju Warty w sprawie nieskorzystania z prawa łaski w stosunku do Elżbiety i Romana Lipińskich, 19 V 1944 r., k. 134.

25 AP Łódź, SgŁd, 2752, Sprawozdanie z wykonania wyroku, 22 V 1944 r., k. 136–137, 155–156; AP Łódź, SgŁd, 2752, Plakat – obwieszczenie o wykonaniu wyroku śmierci na Elżbiecie i Romanie Lipińskich, 22 V 1944 r., k. 20.

26 Oficjalnie Żydzi w Kraju Warty zostali wyjęci spod prawa od 1 VII 1943 r., faktycznie natomiast już wcześniej byli dyskryminowani i prześladowani.

Żydom schronienia, przez co działali na szkodę narodu niemieckiego i popełnili wykroczenie przeciwko artykułowi I punkt 3 Specjalnego Prawa Karnego dla Polaków. Ukrywanie Żydów poza zamkniętymi dzielnicami mieszkaniowymi stanowi wielkie zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego i musi być za wszelką cenę zwalczane. Okazało się bowiem, że to właśnie tacy [ukrywający się] Żydzi tworzą bandy i dotkliwie naruszają porządek w okolicznych wsiach”[27].

Powyższe uzasadnienie ukazuje możliwości instrumentalnego wykorzystania nazistowskiego prawa na ziemiach wcielonych, które właśnie z powodu swego bardzo ogólnikowego charakteru świetnie nadawało się do dowolnego „naciągania” i ferowania w praktycznie każdej sprawie bardzo surowych wyroków, aż do kary śmierci włącznie[28]. Tak więc, choć na tych terenach, w odróżnieniu od Generalnego Gubernatorstwa, nie istniał przepis wyraźnie zakazujący ludności polskiej udzielania pomocy Żydom pod sankcją kary śmierci, faktycznie ją stosowano, powołując się na łamanie rozporządzeń nakazujących izolację ludności żydowskiej w „dzielnicach zamkniętych”. Sąd, argumentując, że Lipińscy poprzez udzielanie pomocy Żydom działali na szkodę panującego na terenach wcielonych do Rzeszy niemieckiego porządku prawnego, musiał tylko uzasadnić znaczną szkodliwość tego czynu, aby móc orzec najwyższy wymiar kary. W tym celu posłużono się argumentem o rzekomym zagrożeniu ze strony zorganizowanych „band” żydowskich, działających w okolicach wiejskich. Fakt, iż twierdzenie to nie znajdowało żadnego odbicia w realiach panujących na terytorium wcielonym do Rzeszy, dla wymiaru „sprawiedliwości” nie miał znaczenia. Sąd Specjalny odwołał się tym samym w uzasadnieniu do zakorzenionych od dawna stereotypów, już wcześniej skutecznie wykorzystanych do masowych eksterminacji całych siedlisk żydowskich, choćby w czasie kampanii 1941 r. na Wschodzie[29].

Dopiero ostatnia część uzasadnienia wyroku wprowadza prawdziwie sensacyjne elementy, stojące w jawnej sprzeczności zarówno z ideologią nazistowską, jak i hitlerowską praktyką eksterminacji ludności żydowskiej: „Oskarżeni Elżbieta Lipińska i Roman Lipiński musieli zostać potraktowani jako mordercy z paragrafu 211 niemieckiego kodeksu karnego [StGB], ponieważ pozbawili życia ludzi, aby zakamuflować popełnione przez siebie przestępstwo karne. Według paragrafu 211 ustęp 1 kodeksu karnego [StGB], morderca z zasady podlega zaś karze śmierci”. Skazanie Polaków za zamordowanie Żyda było sprzeczne z oficjalną wykładnią narodowego socjalizmu, głoszącą, iż Żydzi jako „podludzie” byli „największymi biologicznymi wrogami niemieckiej rasy panów”. Wyrok

[27] APŁ, SgŁd, 2752, Sentencja wyroku, 2 V 1944 r., k. 74.

[28] 4 XII 1941 r. wydane zostało rozporządzenie o prawie karnym dla Polaków i Żydów na terenach wcielonych do Rzeszy, które było stosowane w nazistowskich sądach specjalnych aż do końca okupacji. Bardzo szeroko definiowane pojęcie przestępstwa pozwalało wymierzyć najsurowsze kary nawet za usiłowanie dokonania niedozwolonego czynu. W praktyce stosowanie kary śmierci było możliwe przy wszystkich bez wyjątku przestępstwach. Szybkie postępowanie procesowe połączono z natychmiastowym wykonaniem wyroku.

[29] Więcej o wykorzystaniu stereotypu Żydów współpracujących z sowiecką partyzantką jako argumentu przemawiającego za przeprowadzeniem masowych likwidacji skupisk żydowskich przez Wehrmacht zob. H. Heer, *Gustav Freiherr von Mauchenheim, genannt Bechtolsheim – ein Wehrmachtgeneral als Organisator des Holocaust* [w:] *Karrieren der Gewalt. Nationalsozialistische Täterbiographien*, red. K.-M. Mallmann, G. Paul, Darmstadt 2004, s. 34–35.

Sądu Specjalnego stanowił również głęboki dysonans wobec codziennej praktyki antyżydowskich akcji eksterminacyjnych przeprowadzanych w majestacie nazistowskiej „praworządności" na całym okupowanym Wschodzie przez funkcjonariuszy SS i policji, które zaplanowane były na najwyższych szczeblach państwowych jako „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej". Przypadek sądowego skazania polskich morderców wyjętych spod prawa Żydów skłania więc do zastanowienia, czy był on wynikiem wyjątkowo represyjnej polityki okupanta wobec Polaków, czy też raczej regułą prawną, mającą zastosowanie wobec wszystkich „aryjczyków" bez względu na narodowość.

Argument przemawiający za tym, że była to norma w praktyce sądowej III Rzeszy, znajdujemy w niemieckiej literaturze specjalistycznej z dziedziny kryminalistyki. Zachował się w niej opis analogicznego przypadku skazania na karę śmierci reichsdeutscha za podobny, skrytobójczy mord na dwójce Żydów, i to przez Sąd Specjalny (Sondergericht) w stolicy Rzeszy Berlinie[30]. Zbrodnie te są zbieżne także dlatego, iż popełnione zostały z żądzy zawłaszczenia mienia żydowskiego. Również sam przebieg morderstwa nie ustępował w drastyczności zabójstwu dokonanemu przez rodzinę Lipińskich.

Żydówka Vera „Sara" Korn wraz ze swoją dwunastoletnią córeczką była tolerowana w Berlinie jako była żona reichsdeutscha, który rozwiódł się z nią ze względu na obowiązującą w Rzeszy rasistowską ustawę „o ochronie czystości krwi niemieckiej", zakazującą związków obywateli państwa niemieckiego z Żydami[31]. Władze zezwalały matce i córce legalnie mieszkać w mieście, a nawet pracować. Swojego kochanka i przyszłego mordercę Artura Eckerta, reichsdeutscha, poznała właśnie w miejscu pracy w zakładach kolejowych w Grunewald pod Berlinem, gdzie kontrolował on zatrudnione tam kobiety. Nabrawszy do niego zaufania, Vera powierzyła Eckertowi szkatułkę wypełnioną kosztownościami, obiecując mu jednocześnie, że w przypadku jej deportacji „na wschód", równoznacznej ze śmiercią, będzie mógł zachować ją na własność. Okazało się to dla Very zgubne w skutkach, Eckert bowiem postanowił przejąć zdeponowane u niego kosztowności. Aby wystraszyć konkubinę, Eckert napisał do niej anonimowy donos z „życzliwą" informacją, że wkrótce zostanie „ewakuowana na wschód". Chciał ją w ten sposób nakłonić do ucieczki lub do popełnienia samobójstwa, co pozwoliłoby mu przejąć drogocenną szkatułkę. Gdy te kalkulacje zawiodły, Eckert zaczął rozważać także plan zamordowania Very oraz jej córki Evy. Do morderstwa doszło ostatecznie 21 listopada 1943 r., kiedy to zaniepokojona kobieta przyszła wraz z córką, by odebrać zdeponowane kosztowności. W mieszkaniu reichsdeutscha doszło do kłótni na tym tle, w wyniku której Eckert uprzednio przygotowanym młotkiem pozbawił życia najpierw Verę, a potem Evę. Po ograbieniu zwłok z zegarka i pierścionków poćwiartował je i zapakował w kilka paczek. Część z nich umieścił w pociągu jadącym z Berlina do Bazylei, inne zaś pozostawił w miejscach

[30] H. Felfe, *Der Mord an Vera „Sara" Korn dargestellt anhand der Akten der Berliner Mordkommission,* „Kriminalistik" 1992, nr 3, s. 153–156, 173. Opisany przypadek został wykorzystany w niemieckiej historiografii w kontekście analizowania zjawiska korupcji w dobie Holokaustu, por. F. Bajohr, *Parvenüs und Profiteure. Korruption in der NS-Zeit*, Frankfurt a.M. 2001, s. 135. Za wskazówki bibliograficzne i cenne uwagi gorąco dziękuję Jackowi Młynarczykowi.

[31] Ustawy norymberskie, 15 IX 1935 r., „Reichsgesetzblatt" I, 1146, § 2, § 5 (2).

publicznych. Wspólnym znajomym opowiadał natomiast, że Vera uciekła do Szwajcarii. Makabryczne znaleziska spowodowały podjęcie dochodzenia przez berlińską policję kryminalną. Śledztwo w tej sprawie kontynuowano także po ujawnieniu żydowskiego pochodzenia obu ofiar. Po przesłuchaniach w kręgu znajomych Very Korn Eckert został zatrzymany i postawiony przed Sądem Specjalnym w Berlinie. Co ciekawe, w akcie oskarżenia skoncentrowano się jedynie na wątku morderstwa popełnionego z niskich pobudek na tle rabunkowym, pomijając całkowicie aspekt przestępstwa rasowego (*Rassenschande*). Rozprawa główna odbyła się 28 marca 1944 r. Eckert został skazany na śmierć za podwójne morderstwo popełnione z chciwości. Wyrok wykonano.

Również w tej sprawie uderzający jest fakt, iż zarówno dochodzenie, jak i sam proces od początku prowadzono takim samym trybem, jakby dla nazistowskiego sądu zupełnie nie miał znaczenia fakt, że ofiarami zbrodni były osoby pochodzenia żydowskiego, a przestępcą „uprzywilejowany" reichsdeutsch. Powyższy przypadek dowodzi, że stosowanie kary śmierci za wyjątkowo okrutne mordy na Żydach było najwyraźniej obowiązującą regułą postępowania, i to bez względu na pochodzenie narodowościowe morderców. Pomimo iż w tym samym czasie dokonywała się koordynowana przez państwo zbrodnia ludobójstwa Żydów na masową skalę w obozach zagłady, nazistowskim władzom zależało na tym, aby oddzielić „państwowy" mord zbiorowy od jednostkowych zbrodni na tle rabunkowo-grabieżczym. Dlatego też przestępstwa tego typu podlegały sankcjom określonym w kodeksie karnym Rzeszy (StGB) i w związku z tym wszyscy „aryjczycy", którzy pozbawiali życia Żydów z niskich pobudek, czyli bez instytucjonalnego przyzwolenia, byli oficjalnie traktowani w III Rzeszy jak mordercy[32].

Ta sprzeczna z całą oficjalną ideologią państwa nazistowskiego praktyka prawna znajdowała zastosowanie jedynie w przypadkach, kiedy Żydzi padali ofiarami mordu, ale i tutaj bynajmniej nie chodziło o ich prawa obywatelskie, lecz o utrzymanie ładu w państwie. Żydzi stawali się w ten sposób jedynie odpersonalizowanym pretekstem do ścigania aspołecznych, zdemoralizowanych jednostek, dla których brakowało miejsca w ramach państwa totalitarnego, kontrolującego wszystkie dziedziny życia obywateli. Nie dopuszczano w związku z tym do wydawałoby się „poprawnych politycznie" z punktu widzenia doktryny narodowego socjalizmu, ale indywidualnych, czyli oddolnych, inicjatyw o zbrodniczym charakterze, które mogły prowadzić do anarchii w państwie. Tak więc faktycznym powodem postępowania sądowego nie było dochodzenie praw Żydów, lecz czuwanie nad „morale" społeczeństwa. Nad ideologią zwyciężył w ten sposób czynnik „prawno-wychowawczy", którego zasadniczy cel stanowiło utrzymanie obywateli w posłuszeństwie.

Innym aspektem sprawy skazania rodziny Lipińskich jest spostrzeżenie natury ogólnej, iż wszelkie nadużycia wobec Żydów, aż do zbrodni włącznie, stały się możliwe dzięki stworzonej przez państwo nazistowskie atmosferze nienawiści i poczucia bezkarności w stosunku do ludności żydowskiej. Dawała ona podstawy do bra-

---

[32] Do tego samego wniosku dochodzi F. Bajohr, *op. cit.*, s. 135. Wydaje się natomiast, iż odmienna sytuacja panowała w Generalnym Gubernatorstwie. Świadczy o tym treść raportu polskiego podziemia z Sandomierszczyzny z 13 IV 1942 r.: „Gdy zdarzyły się morderstwa Żydów, dokonane przez chłopów dla rabunku, władze śledcze niemieckie ograniczały się do stwierdzenia, iż zabici są Żydami" (AAN, Delegatura Rządu, 202/III/7, t. 1, Informacja bieżąca nr 14/39 z 13 IV 1942 r., k. 70).

ku odpowiedzialności za czyny i przestępstwa popełniane przeciwko pozbawionym praw i prześladowanym Żydom. Tworząc wyjątkowo sprzyjający grunt pod podobne zbrodnie, państwo nazistowskie przyczyniało się do postępującej demoralizacji społeczeństwa, której ulegali zarówno reichsdeutsche, jak i niektórzy Polacy. Najbardziej podatne na negatywne wpływy nachalnej indoktrynacji okupanta oraz stałego obcowania z przemocą były zwłaszcza jednostki słabsze moralnie, niewykształcone oraz pochodzące z marginesu społecznego[33]. To właśnie ten nasilający się w miarę przedłużania okupacji proces deprawacji polskiego społeczeństwa miała na myśli Zofia Kossak-Szczucka, pisząca w 1942 r.: „Dzisiaj bestialstwa niemieckie stępiły wrażliwość wsi, odebrały pewność sądu. Piorun nie spada z nieba, nie zabija morderców dzieci, krew nie woła o pomstę. Może to prawda, że Żyd jest tworem wyklętym, na którym zbrodnia popełniona uchodzi bezkarnie. W związku z tym przekonaniem mnożą się, niestety, wypadki czynnego współdziałania chłopów w eksterminacyjnej akcji niemieckiej. To precedens bardzo groźny"[34]. Zarówno codzienne obcowanie z przemocą okupanta wobec Żydów, jak i powszechna brutalizacja wszystkich dziedzin życia oddziaływały destrukcyjnie na postawy ludności. Efektem bywały zachowania tak skrajne, jak przedstawiony tu przypadek morderstwa w Firleju, które zaliczyć więc należy do czynów kryminalnych, aktów zwykłego bandytyzmu, popełnionych z niskich instynktów. Świadczy o tym fakt, iż impulsem do jego dokonania była głównie prymitywna pokusa wyzyskiwania i wykorzystania bezbronności wyjętych spod prawa ofiar, a nie rasistowskie, antysemickie przekonania. W wypowiedziach i postępowaniu Polaków nie było bowiem ideologicznego uzasadnienia w postaci nienawiści rasowej do Żydów. Jest to szczególnie widoczne, gdy porówna się motywację niemieckiego i polskich zbrodniarzy. Reichsdeutsch nawet w obliczu kary śmierci demonstrował agresywny antysemityzm, starając się również trwale zaszczepić go swojej rodzinie[35]. Polacy zaś, kierując się niskimi instynktami, popełnili czyn kryminalny, ponieważ ośmieliły ich do tego okoliczności, w tym przede wszystkim atmosfera bezprawia wobec Żydów stworzona przez nazistów. Zdemoralizowane jednostki wykorzystały nadarzającą się „okazję" w nadziei na bezkarność i utrzymanie potwornej zbrodni w tajemnicy. Mord w Firleju to chyba najbardziej dosadne potwierdzenie diagnozy postawionej już w 1944 r. na łamach „Gazety Lubelskiej": „Zdołano w znacznej mierze zbrukać i zohydzić duszę narodu. Wojna doprowadziła do takiego rozwydrzenia i bestialstwa, takiego zatarcia wszelkich skrupułów moralnych, że trzeba będzie

33 Elżbieta Lipińska była analfabetką. O jej prymitywizmie i deprawacji świadczy fakt, iż wpłynęła na postawy swoich dzieci, inspirując je do popełnienia bestialskiej zbrodni. Z kolei Eckert, który dopuścił się nie mniej odrażającego czynu, był podobnie zdemoralizowany, choć z innych przyczyn. Manifestowany przez niego antysemityzm świadczy o sile oddziaływania nazistowskiej propagandy.

34 Cyt. za: M. Grynberg, *Pomoc udzielana Żydom w czasie okupacji niemieckiej w Polsce. Uwagi i refleksje* [w:] *Polskie podziemie polityczne wobec Zagłady Żydów w czasie okupacji niemieckiej. Referaty z sesji. Warszawa 22 IV 1987*, red. I. Borowicz, Warszawa 1988, s. 89.

35 Po orzeczeniu kary śmierci jedynym przesłaniem Eckerta dla rodziny była antysemicka nienawiść. Świadczy o tym napisany przez niego już po ogłoszeniu wyroku śmierci list do żony: „Droga Lotto! [...] To Żydzi zatruli moją duszę, uczynili ze mnie plugawca. [...] Nie zaprzestawajcie nigdy nienawidzić Żyda, gdyż to on sprowadził na nas nieszczęście [...] Miałem zamiar skończyć ze sobą, ale żaden Żyd nie jest tego warty, a ja, jako ojciec rodziny i niemiecki obywatel, chciałbym się jeszcze wykazać czymś pożytecznym", cyt. za: H. Felfe, *op. cit*., s. 172–173; zob. też przypis 33.

znacznego wysiłku, by zwalczyć te rany zadane psychice narodu. […] Bakcyl nienawiści ciągle wydziela jeszcze toksyny”[36].

Zbrodnia popełniona w Firleju uświadamia, z jakimi potencjalnymi zagrożeniami musiała się liczyć ludność żydowska, uciekająca z gett, która próbowała znaleźć schronienie po „aryjskiej” stronie. Żydzi, aby przeżyć, musieli nawiązywać kontakty z ludnością polską, co było w ich tragicznej sytuacji ludzi skazanych przez okupanta na śmierć niezwykle ryzykowne. Zdani bowiem na łaskę i niełaskę gospodarzy, do których trafiali w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki, często dopiero w praktyce przekonywali się o prawdziwych intencjach swoich opiekunów. Niezwykle ważny okazywał się przy tym atut posiadania dóbr materialnych, co znacznie ułatwiało znalezienie schronienia po „aryjskiej stronie”. Większe szanse na ukrycie mieli ci, którzy mogli coś zaoferować Polakom znajdującym się w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Można się w pewnej mierze zgodzić z amerykańskim historykiem Richardem Lukasem, który pisał: „Za »Niemca« Polacy poddani byli postępującej pauperyzacji, często z trudnością sami utrzymywali się przy życiu, dlatego większość z nich, nawet gdyby tego pragnęła, nie była w stanie udzielić pomocy żydowskim uciekinierom. Stąd jeśli nawet Żydzi płacili Polakom za ukrywanie ich, pieniądze przyjmowano nie tyle przez chęć zysku, co z uwagi na biedę”[37]. Analizowany przez nas przypadek ukazuje jednak również inny aspekt tego zjawiska: czasami pomoc stawała się formą transakcji wiązanej, która mogła szybko zakończyć się w momencie wyczerpania możliwości płatniczych ukrywających się. Przypadek ten uzmysławia jednocześnie, że motywacją części Polaków ukrywających Żydów była głównie chęć zysku. Potwierdzają to także inne zachowane relacje żydowskie z których wynika, iż zjawisko ukrywania Żydów dla korzyści było w tym czasie dość rozpowszechnione. Na przykład w Kielcach w mowie potocznej wykształciła się nawet na jego określenie pogardliwa nazwa „trzymania kotów”. Według ukrywającej się w tym mieście Nechamy Tec, konieczność opłacania polskich opiekunów zmuszała Żydów do regularnej pracy chałupniczej, utrzymywanej naturalnie w tajemnicy przed Niemcami. Ona sama jako małoletnia dziewczynka trudniła się piekarstwem i rozprowadzaniem własnych wyrobów na „czarnym rynku”[38].

Innymi formami wykorzystania materialnego i żerowania na cudzym nieszczęściu było denuncjowanie ukrywających się Żydów po ich wcześniejszym ograbieniu lub porzucenie na pastwę losu po uprzednim wyłudzeniu wszystkich posiadanych przez nich dóbr, co było równoznaczne ze śmiercią. Tak początkowo zamierzali postąpić Lipińscy. Duże zagrożenie dla ludności żydowskiej po „stronie aryjskiej” stanowiły zorganizowane grupy trudniące się szmalcownictwem, które traktowały proceder denuncjowania Żydów jako źródło dochodów. Rozwinął się on głównie w miastach, szczególnie w Warszawie[39]. Do skrajnych przypad-

---

[36] Z.R., *Zniszczyć bakcyl nienawiści!*, „Gazeta Lubelska”, 26 X 1944, nr 76.
[37] R.C. Lukas, *Zapomniany Holocaust. Polacy pod okupacją niemiecką 1939–1944*, Kielce 1995, s. 184.
[38] N. Tec, *Eine Art Leben. Eine jüdische Kindheit im besetzten Polen*, Hamburg 1998, s. 94, 126, 169–190.
[39] J. Grabowski, *Szmalcownicy warszawscy, 1939–1942*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 143, s. 85–117.

ków zachowań Polaków należy zaliczyć te, kiedy wyzyskane ofiary skrytobójczo mordowano, tak jak wydarzyło się to w Firleju. Motywów takiej bezwzględności, posuniętej do granic człowieczeństwa, mogło być wiele. Najczęstszymi były bez wątpienia strach przed dekonspiracją przez Żydów, niewygodnych świadków, którzy w akcie zemsty za wyrzucenie po obrabowaniu mogli wydać Polaków, obawa przed „nieżyczliwymi" sąsiadami, którzy w każdej chwili mogli dowiedzieć się o ukrywaniu Żydów i donieść o tym okupantowi, czy wreszcie paniczny strach przed represjami, jakie mogły spaść na całą rodzinę w przypadku wykrycia przez Niemców nielegalnego utrzymywania Żydów.

Przykładów nadużyć wobec Żydów można znaleźć w literaturze, szczególnie we wspomnieniach żydowskich ocalonych, znacznie więcej. Niewiele jednak przypadków jest tak dobrze udokumentowanych jak sprawy sądowe Lipińskich i Eckerta. Stanowią one w związku z tym nieliczne świadectwa czasu dokumentujące zbrodnie, których prawdziwa skala nigdy nie będzie znana. Większość bowiem morderstw tego typu popełniona została pod osłoną nocy i bez świadków, a ich kulisy pozostaną tajemnicą właśnie ze względu na skrytobójczy charakter tych przestępstw.

Koncentrując się jednak na patologicznym zachowaniu rodziny Lipińskich wobec Żydów, nie można rozciągać tego przypadku na całe stosunki polsko-żydowskie w tym dramatycznym okresie. Omawiając kwestię ucieczek ludności żydowskiej z gett w okresie ich likwidacji oraz szukania przez nią schronienia po „stronie aryjskiej", nie można zapominać o tych Polakach, którzy nie bacząc na zagrożenia, jakie wiązały się z udzielaniem pomocy Żydom, bezinteresownie ich ukrywali. Niewątpliwym świadectwem takiej działalności są tysiące uhonorowanych przez Yad Vashem tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata"[40]. Pamiętać trzeba również, że tylko niektóre fakty udało się po latach udokumentować i upamiętnić. Ścisła konspiracja, jakiej wymagała ta działalność, często do dziś nie pozwala na jej odtworzenie. Wielu Polaków, którzy poświęcili swoje życie, aby ratować Żydów, pozostaje więc bezimiennych. Dotyczy to szczególnie miast, gdzie do bezpiecznego ukrycia jednego Żyda potrzeba było niejednokrotnie współpracy wielu osób, z których większość pozostanie anonimowa.

Bez zrozumienia realiów okupacji i ekstremalnych warunków egzystencji, w tym skrajnej biedy, z jaką borykać się musieli Polacy, oraz bezwzględnych represji okupanta, nie można dziś pojąć postaw Polaków zmuszanych do niezwykle trudnych decyzji. Wybór między bezpieczeństwem własnej rodziny a zwykłym ludzkim odruchem pomocy należał z pewnością do najtrudniejszych dylematów. Świadomość konsekwencji, jakie mogła ponieść w wyniku podjętej decyzji cała rodzina, czasami sąsiedzi, czy nawet wieś, budziła rozterki i powstrzymywała wielu przed podjęciem ryzyka. Była to jednak tylko część okupacyjnej rzeczywistości, o czym świadczy właśnie tragiczny przypadek skrytobójczego mordu w Firleju, który uświadamia jednocześnie, jak brutalne i skomplikowane były to czasy. Równocześnie pokazuje on, iż niektóre aspekty okupacji, takie jak na przykład funkcjonowanie niemieckiego wymiaru „sprawiedliwości", wymagają dalszych szczegółowych badań.

---

[40] Por. M. Grynberg, *Księga sprawiedliwych*, Warszawa 1993.

Dorota Siepracka (ur. 1974) – historyk, pracownik naukowy OBEP IPN w Łodzi. Zajmuje się problematyką zagłady Żydów oraz stosunkami narodowościowymi na okupowanych ziemiach polskich. Wspólnie z Januszem Wróblem opublikowała *Działalność informacyjno-propagandowa konspiracji w Łódzkiem w latach 1939–1945* [w:] *Działalność informacyjna Polskiego Państwa Podziemnego*, red. W. Grabowski, Warszawa 2003.

Jews' murderers at Nazi Special Court

A typical for a Nazi country racist ideology aimed at the Jews created the atmosphere of hatred against the persecuted Jewish community. It led to growing impunity of the society, both of Reichdeutsches and some Poles. Sometimes it resulted in committing murders on Jews.

Court cases of the Polish Lipinski family and a reichsdeutsch Artur Eckert, accused of secret murder of Jews, which were heard in 1944 at Nazi special courts in Łódź (Litzmannstadt) and in Berlin give a new view on Nazi „justice". Passing a death sentence for „Aryans" for murdering Jews („underpeople" according to the official interpretation of national socialism) contradicted both the official ideology and the policy of extermination of Jews. The cases described prove that using capital punishment for exceptionally brutal murders of Jews out of mean motives was a rule for courts no matter what the murderers' origin was. It was important for the Nazi authorities to distinguish between a „state" extermination and individual murders out of robbery motives, that is why murders of Jews committed by „Aryans" were prosecuted by Criminal Code of Reich and anybody who killed them out of mean motives, that is without the institutional allowance, was treated as a murderer.

Such a use of law, contradictory to the official ideology of the Nazi state, was applied only in cases when Jews were victims of individual murders, but even in those cases the reason for it was not their civil rights, but the need to keep order in the state. Jewish victims were only a pretext to prosecute lawless individuals acting out of institutional or state control, for whom there was no place within a totalitarian state. When proclaiming the racist ideology, Nazi authorities were on one hand creating favorable conditions for this kind of crimes, and on the other hand fighting individual criminal initiatives which could lead to anarchy.